ŚWIAT KOBIECY



ROK 1926 N° 22 CENA 2 ZŁ.

RYS. J. ZARUBA

LIT. ART. W. GŁÓWCZEWSKI, WARSZAWA

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata wraz z przesyłką kosztuje w Administracji (Lwów, Chorążczyzna, 27) miesięcznie zł 3·80, kwartalnie zł 10·50, półrocznie zł 18·—. Numer pojedyńczy 2 zł. — Kwotę prosimy nadesłać wraz z zamówieniem blankietem PKO (Konto nr 140.810, Księgarnia Polska), przekazem pocztowym lub w liście (można znaczkami). Można także prenumerować w księgarniach, biurach gazet i t. p. (cena przy odbieraniu poszczególnych zeszytów w księgarni i t. p. miesięcznie zł 3·60, kwartalnie zł 10·—) lub na poczcie (cena miesięcznie zł 3·66, kwartalnie zł 10·17).

OPIS MODELI:

1026 Suknia wizytowa z ciemnego aksamitu przybrana haftem, spódniczka tworzy z przodu godety.
1027 Suknia wizytowa z crêpe marocain, przybrana haftowaną bortą i wielką kokardą.
1028 Skromna sukienka z angielskiej wełny w deseń, krawat i żabot z białej crêpe Georgette wykończone ciemną.
1029 Suknia z rypsu z bolerem, plastron z białej crêpe de Chine.
1030 Sukienka z szarego materjału przybrana crêpe de Chine w kolorze terracota.
1031 Spódniczka z gładkiej jasnej wełny, żakiet wełniany trykotynowy.
1032 Suknia z materjału w deseń przybrana guziczkami i gładkim materjałem.
1033 Suknia z jedwabiu z plisowaną spódniczką przybrana plisami haftowanemi.
1034 Spódniczka z materjału kasha, żakiet z wełny jersey przybrany bordiurą.
1035 Kostjum z wełnianego trykotu przybrany białem futrem.
1036 Suknia z materjału epinglé z białym przodem i jedwabną krawatką.
1037 Suknia z rypsu fałdowana po bokach z trójkątnemi kieszonkami przybrana złotym haftem.
1038 Suknia z wełnianej crêpe marocain, przybrana ciemnym jedwabiem.
1039 Suknia z lekkiego materjału przybrana guziczkami.
1040 Suknia z gładkiej wełny przybrana wełną w paski, spódniczka plisowana.
1041 Sukienka wizytowa z jasnej crêpe de Chine, dół spódniczki z ciemniejszej.
1042 Stylowa sukienka z tafty przybrana srebrną wstążką, karczek z tiulu.
1043 Sukienka wizytowa z ciemnej crêpe Georgette, przybrana srebrną bortą i motywem.
1044 Sukienka wizytowa z crêpe Georgette, przybrana koronką, spódniczka drobno plisowana.
1045 Sukienka wizytowa z crêpe de Chine, przybrana haftowanym motywem i kokardą, spódniczka marszczona.
1046—1056 Dziecinna bielizna. Kombinacje, dzienne koszulki, majteczki z szyfonu, perkaliny lub batystu przybrane mereżkami, haftem i koronką.
1057 Dziecinna kombinacja majteczkowa z perkaliny wykończona kolorowem dzierganiem.
1058 Dziecinna kombinacja z szyfonu przybrana haftem i wstążką.
1059 Domowa sukienka z wełny w deseń i gładkiej, krawatka ze wstążeczki.
1060 Domowa suknia z materjału duwetyne, przybrana bortą i szerokim paskiem.
1061 Pyjama z flaneli w deseń przybrana ciemnym jedwabiem.
1062 Domowa suknia z wełny w deseń, biały plastron i ciemne przybranie.
1063 Poranna suknia z welwetu z dużą kieszenią.
1064 Poranna suknia z flaneli wykończona sznurem.
1065 Domowa suknia z jasnej flaneli przybrana jedwabnym rypsem.
1066 Domowa suknia z barchanu w kratę z bolerem i szerokim paskiem.
1067 Poranna suknia z materjału kasha przybrana bortą.
1068 Poranna suknia z jasnego miękkiego materjału przybrana ciemnym jedwabiem.
1069 Sukienka dla panienki z materjału kasha przybrana niebieskim jedwabiem.
1070 Sukienka dla panienki z ciemnego materjału, przybrana bortą.
1071 Sukienka dla dziecka przybrana aksamitką.
1072 Sukienka dla dziecka z ciemnej flaneli z szeroką jasną bluzką przybraną ciemną.
1073 Sukienka dla dziecka z flaneli w kratę, przybranie ciemne.
1074 Sukienka dla dziewczynki z rypsu z plisowaną spódniczką i szerokim paskiem.
1075 Płaszcz dla dziewczynki z angielskiej wełny w kratę z pelerynką.

KROJE:

Ceny krojów: zwykłe miary od 1·20 do 2 zł. Miary osobiste od 2 do 5 zł. Wysyłka za zaliczką.
Miary: I. szczupła, II. normalna, III. tęższa, IV. tęga.
Kroje normalnej miary z „Świata Kobiecego" dostarczamy odwrotnie, kroje miar osobistych — w terminie dwutygodniowym.
Zamówienia należy skierowywać do ADMINISTRACJI „ŚWIATA KOBIECEGO", LWÓW, KSIĘGARNIA POLSKA. Detaliczna sprzedaż we Lwowie w Księgarni Polskiej, Akademicka 2 a.

REKORD
ŚWIAT KOBIECY
CZASOPISMO POŚWIĘCONE MODZIE I SPRAWOM KOBIECYM

ROK VI | 15 LISTOPADA 1926 | NUMER 22

REWJA MÓD JESIENNYCH



ZAPOWIEDZIANA w teatrze Niewiarowskiej rewja mód, w której udział wzięły f. f. Zmigryder, Myszkorowski (konfekcja damska), Cwejko (manufaktura), Borkowski (krawiec męski), Leszczyński (obuwie), Apfelbaum (futra), Henriette i Zydrańska (kapelusze), wzbudziła takie zainteresowanie, że szatnia nie mogła pomieścić okryć, a sala — publiczności. Jednakże ta wielka rewja przyniosła pewne rozczarowanie. Czekano nowości, czegoś szalenie efektownego, czegoś czego jeszcze nie było, czego się nie widziało, a okazało się, że Moda wciąż jeszcze zazdrośnie chowa niespodzianki na później. Zobaczyliśmy wiele ładnych rzeczy, ale niewiele nowego. Linja zasadnicza sukien nadal pozostaje obcisła. Spódniczka dąży do uwydatnienia linji bioder. Wszelkie rozszerzanie sukni, czy przez plisowanie, czy przez godety, ma na celu raczej ozdobę, niż rozszerzenie obwodu sukni. W sukniach porannych i popołudniowych rękawy długie, w wieczorowych brak ich zupełny, rękaw „krótki" poszedł w zapomnienie. Długość sukienek — rzec można — zastraszająca. Przy podniesieniu, nawet lekkiem, ramienia kolanko pani ukazuje się w całej okazałości, należy to do „szyku". W sukniach popołudniowych małe dekolciki lub kołnierzyki pod szyję, w wieczorowych śmiałe dekolty, zwłaszcza na plecach, niektóre sięgają pasa. Jako przybranie stosowane szeroko plisowanie. Moda łączenia dwóch materjałów lub dwu kolorów jeszcze wciąż się utrzymuje. Wśród materjałów królują jedwabie. Robi się z nich suknie popołudniowe, wieczorowe, płaszcze, sortie. Nowością są przebogate sortie z lamy kolorowej (na tle srebrnem lub złotem kwiaty barw natural-

Peleryna gronostajowa. — Model firmy M. Apfelbaum i Ska. Zdjęcie „Prasa", Warszawa.

Suknia z zielonego cieniowanego tiulu. — Sortie z zielonego weluru z prawdziwemi nurkami. — Model firmy A. Myszkorowski. Zdjęcie „Prasa", Warszawa.



nych). Kilka takich sortie, bogato obłożonych futrem, pokazały f. Zmigryder i firma Myszkorowski.

Wśród kolorów na suknie popołudniowe przeważa kolor czarny. W sukniach wieczorowych mamy całą gamę barw jasnych. Bardzo modny jest kolor zielony, w tonie szmaragdowym i turkusowym. Wśród sukien popołudniowych przeważały czarne. Dwie z nich, firmy Myszkorowskiego, były przybrane oryginalnie czarną jedwabną frendzlą (która na jednej tworzyła falbany a na drugiej żabot) ogromnie efektownie. F. Myszkorowski dała też oryginalny model czarnej skromnej sukienki popołudniowej, której dół zdobiły zęby z deseniowego weluru jasnego. Duży szal z tegoż weluru, z długą frendzlą, uzupełniał tę oryginalną i wykwintną toaletę. F. Zmigryder też dała dwie czarne sukienki. Jedna z nich miała za całą ozdobę delikatne wąziutkie wypustki ponsowe i klamrę ponsową na boku, drugą zdobiła crêpe Georgette barwy opera. Pozostałe toalety były barwy bronzowej, granatowej i ciemno-wiśniowej. — Najwięcej płaszczy pokazała f. Zmigryder. Był więc płaszcz z wełny bardzo zdobny bronzowemi skunksami, wiśniowy jedwabny z bibretkami, czarny jedwabny ze skunksami, czarny sukienny z lisami. Wszystkie płaszcze robią wrażenie wąskich. Zapinają się lub zatulają zboku. Mają wysokie kołnierze i szerokie ozdobne mankiety. Do płaszczy kapelusze przeważnie aksamitne, o miękkich, fantazyjnie powyginanych główkach i małych rondach. Jako ozdoba szpilki z kamyków, ładne, błyszczące. Do płaszczy lakierki. Wśród sukni wieczorowych, iście karnawałowych, wyróżniały się modele f. Myszkorowski: suknia czarna, zdobna szeroką błękitną cieniowaną frendzlą, i sukienka urocza a lekka z cieniowanego zielonego tiulu, cała z falbanek, z górą z zielonej tafty, zdobna jedynie wiązanką róż u boku. Oryginalną suknią lila, zdobną haftem i szeroką szarfą z lamy, dała f. Myszkorowski. Z pośród kilku naprawdę uroczych sukni f. Zmigryder na szczególną uwagę zasługiwała toaleta szafirowa, czarno srebrna (karczek ze srebrnej koronki i takiż dół sukni), uzupełniona takiem samem sortie, i lilarose, której obcisłą górę stanowiła lila tafta, a fantazyjnie upięty dół na wzór krenolinek wykonano ze srebrnej lila lamy. Oryginalna była toaleta „Jesień“ f. Zmigryder. Suknia ze złotego jedwabiu fantazyjna i sortie z takiegoż jedwabiu, którego dół i kołnierz utworzono z liści jesiennych, wybornie naśladowanych. Nową ozdobą sukni wieczorowych są bogate szale z lamy i brokatu, bramowane bardzo długą frendzlą, które, układając się fantazyjnie, nadają każdej toalecie niezwykle wykwintny wygląd. — Pantofelki z jasnej skórki, z brylantowemi guziczkami, niektóre z lamy lub skóry batikowanej. — Jako ozdoby sukien wieczorowych wciąż stosuje się haft paciorkami, perełkami i brylancikami. Te ostatnie wyglądają bajecznie na czarnym atłasie.

Futra. F. Apfelbaum dała koncert modeli. Gronostaje, srebrzyste popielice, „brajtszwance“, nurki, gazele, krety i niebieskie lisy. Płaszcze brajtszwancowe zdobią kołnierze lub przybrania z popielic i szynszyli. — Wszystkie płaszcze mają kołnierze wysokie i strojne, szerokie rękawy. Przeważnie nie zapinają się, lecz zatulają. Moda ozdabiania innem futrem kołnierzy wciąż się trzyma, a kombinacje są przeróżne. Z futer skromniejszych pokazano murmle i krety.

Ir. Kalinowska (Warszawa)



Sortie ze srebrnej lamy, przybrane czarnym welurem. Suknia ze srebrzystej crêpe Georgette. — Model firmy Zmigryder. — Zdjęcie „Prasa“, Warszawa.



Foki przybrane jasnemi popielicami. — Model firmy M. Apfelbaum i Ska. — Zdjęcie „Prasa“, Warszawa.



Suknia z zielonej crêpe Georgette, przybrana świecidełkami i brylancikami. Sortie ze złotej lamy, kołnierz z błękitnego lisa. — Model firmy Myszkorowski. Zdjęcie „Prasa“, Warszawa.

POCHWAŁA „À LA GARÇONNE"

FRYZURA POLSKIEJ ELEGANTKI W PRZEBIEGU STULECI



MIMO, że mnie nie znasz — ja ciebie znam dobrze, moja czytelniczko, w króciutkiej do kolan sukience, z obnażonemi rękami — z „perłą w uszach".

Uśmiechasz się do mnie na ulicy i w tramwaju, w kawiarni i teatrze, w kinie i na dancingu, — zwracasz do mnie swoją główkę i delikatnie nakarminowanemi wargami prosisz:

— Pochwal moją fryzurę „à la garçonne".

Lecz zanim to zrobię, chcę cię zaprosić do mego pokoju i porozmawiać z tobą.

Usiądziemy koło jesiennych, różowych wrzosów i opowiemy sobie po przyjacielsku dużo miłych rzeczy. Pośmiejemy się trochę ze starych fryzur i peruk biało pudrowanych, z „kędrów", loczków, papilotów i „podwłośników" z „tartorogowych grzebieni" i kwefów, z pukli i staroświeckich, koronkowych czepców, jednem słowem, — z pobłażliwym uśmiechem ale delikatnie obgadamy nasze prababki — i tak nam zleci parę chwil — a jeśli się dobrze czuć będziesz w moim kąciku, obok wąskich, różowych prętów jesiennego wrzosu — jeśli się u mnie nie znudzisz — to znów cię kiedyś do siebie zaproszę.

A teraz porozmawiamy o fryzurach naszych prababek.

Panny nosiły zawsze warkocze lub rozpuszczone włosy — mężatki czepiec na obciętych włosach. Wyobraź więc sobie, jakie to zgorszenie musiało być w Polsce, kiedy Dąbrówka, mimo podeszłego wieku, włosów nie pozwoliła sobie obciąć, — tylko ku urąganiu wszystkich — splatała je niby panna w warkocze. Fakt ten wiele musiał wówczas wywołać hałasu — skoro go Długosz w swojej „Historji" piętnuje.

Panna do ślubu szła zawsze w rozpuszczonych włosach i z wieńcem, który od czasów przedhistorycznych u wszystkich narodów prawie był symbolem dziewictwa. Wieniec taki był zakończony olbrzymią czerwoną wstążką, która nazywała się binda lub bindalik. Po ślubie pannie młodej — obcinano włosy, zostawiając tylko „kędry", na głowę wkładano czepiec. — Zwyczaj ten, do dzisiaj zachowany u ludu, zwał się oczepinami.

Musiały być nielada ozdobą długie, trefione włosy, skoro Gryfina, żona Leszka Czarnego, mimo sarkania duchowieństwa i starych matron — warkoczów, podobnie jak Dąbrówka, nie obcięła, ale dumnie się w nich prezentowała po zjazdach wszystkich i bankietach.

Patrzysz na mnie zdziwiona i śmiejesz się — Boże! ile czasu potrzebowały dawniej kobiety na splatanie i trefienie włosów!!

Zaczekaj, moja roześmiana „garsonko" — załamiesz dopiero ręce, gdy dojdziemy do peruki rokokowej pani.

Nic to warkocze i czepce!! — ale przychodzi okres fryzur. Rozmaitego bywały kształtu i różnej wielkości. Czasami dochodziły do takiej przesady, że któryś z odważniejszych fraszkopisów, oburzony w swoich ramotach — rzuci eleganckiej gładyszce słowa pełne jadu:

„Przedtem kobiety chodziły w czołeneczkach, dziś o trzech piętrach noszą fryzurę"...

A Imci Pan Rej z Nagłowic gniewnie pod nosem sarknie:

— „O! Bieretek miała na głowie z feretkami i pióreczko na nim" — — —

Coraz częściej staje elegantka w swojej gotowalni przed kryształowem zwierciadłem — i coraz więcej czasu poświęca na owe „przeborki"*) aby były równe, — na owe pukle nad uchem — na owe do podpinania grzebienie najrozmaitsze. Bo jakiż to wybór grzebieni ogromny!! Są w skrzyneczkach rogowe i srebrne, złote wysadzane koralami lub perłami, — są „tartorogowe" czyli szyldkretowe, są maleńkie z brylancikami, których się wpina, aż po kilka tuż nad uchem.

A ileż to będzie zamieszania i radości — gdy królowa Marysieńka przywiezie do Polski swego ulubionego fryzjera, mistrza *„monsieur Clairemonta"!!* Żadna elegantka nie pokaże się już u dworu, nie będąc uczesaną przez tego sprytnego papinka z nad Sekwany, — który po kilku latach zrobi kolosalny majątek — i wyjedzie z tej zimnej Polski, „gdzie się rok cały chodzi w futrach".

A wyobrażasz sobie — jak biło z radości serce twojej prababce — gdy po raz pierwszy wkładała perukę. Cóż to, że wymysł francuski i że gorszą się matrony — czyż nie gorszyły się, gdy Dąbrówka i Gryfina nosiły warkocze — czyż nie gorszyły się od wieków?

Perruque!!

Czy wyobrażasz sobie, roześmiana garsonko, ile to słowo miało czaru, — może nawet nie wiesz, że różni uczeni ludzie pisali o peruce dzieła.

Czy myślisz, że dzieło francuskie *„Eloge des perruques, par le Doc. Aherlio"* było w Polsce nieznane? Jeśli tak naprawdę myślisz, to się mylisz.

Każda elegantka dobrze wiedziała, że peruki według tego uczonego dzieła dzielą się na 7 rodzajów: 1) strzyżone, 2) workowe, 3) węzłowate, 4) peruki d'Abbé, 5) naturalne, czyli hiszpańskie, 6) czworogranne z kędziorem, 7) wojskowe francuskie, śpiczaste.

Pierwsze peruki ukazały się w Warszawie, za Władysława IV. Zczasem powiększały się, — przybywało więcej loków i pukli. Wkładała twoja prababka rano perukę jasną, — a wieczór na dworskim ensemblu lub balu — już jako brunetka dyskretne stawiała pas we wdzięcznem menuecie.

Rano godziny całe w pudermantlu przed złoconym owalem lustra siedzi i włosy w wysoką „tresse" misternie układa — a jeśli to jest przed balem, maskaradą lub festynem w Łazienkach, wybiera z atłasowego pudełka turnanty czyli strusie pióra i w pudrowane wpina pukle.

Trzeba będzie potem w alejach przy jakiemś słodkiem en deux bardzo uważać, ażeby się peruka nie przekrzywiła i nie zmięła.

W Wiedniu w roku 1778 ukazują się pierwsze peruki niciane, — ale tych na głowę żadna prawdziwa elegantka w Polsce nie włoży — rozpowszechnią się więc u mieszczek tylko.

A teraz po całej kolekcji portretów Lampiego i Bacciarellego, portretów markiz w białych piętrowych perukach, — po przejrzeniu sztychów Daniela Chodowieckiego i Isabey'a — patrzę na ciebie podstrzyżona pani i uśmiecham się do ciebie. Zresztą, wyglądam tak samo jak ty.

Nie tracimy czasu na trefienie rozpuszczonych włosów, na splatanie warkoczy, — na chuchanie i pudrowanie pukli i papilotów, — na układanie misterne spiętrzonych peruk, nie siedzimy w „pudermantlach" godzinami przed zwierciadłem — nie boimy się o nasze fryzury — nie chronimy głów przed wiatrem, za jedną minutę jesteśmy uczesane.

Stań przy mnie — tutaj przed lustrem — roześmiejmy się obie — ładnie ci w twojej praktycznej fryzurze à la garçonne — ale powiedz, jaką minę zrobiłaby jakaś rokokowa pani, albo ta, którą czesał mistrz Clairemont — gdyby nas tak teraz zobaczyła. — Ale my — prawda? — nie zazdrościmy jej wysokiej, pudrowanej peruki, w której się bała ruszyć głową.

Arnika

*) „przeborek" = rozdział na głowie.

„RETUSZ ARTYSTYCZNY“ TWARZY

II

ULEGAJĄC licznym prośbom naszych Czytelniczek, dopominających się coraz częściej o przepisy na środki upiększające, podaję recepty takich powag na polu kosmetyki, jak dr Paschkis, dr Joseph, dr Monin, dr Gastou, dr Unna.

Sam fakt istnienia tego rodzaju recept w dziełach lekarskich dowodzi, że żyjemy w okresie renesansu szminki. Nie pomogą więc żadne odradzania, ani głos rozsądku, skoro duch czasu wymaga tego od naszych Pań.

Jeśli więc temu kaprysowi niewieściemu poddaje się nawet surowa wiedza lekarska, nikogo nie może zdziwić, że i redakcja „Świata Kobiecego“, nie chcąc być zacofaną, idzie w jej ślady, aczkolwiek bardzo niechętnie i po długiem ociąganiu się.



I kto wie, czy może nawet nie będzie lepiej podać nieszkodliwe i tanie przepisy, które odwiodą Panie od nabywania gotowych i drogich, a rujnujących cerę preparatów.

Należy jednak zwrócić uwagę zainteresowanych na to, że kto raz zaczął poprawiać naturę w tym kierunku, nie potrafi odzwyczaić się od tego nałogu.

Mamy trzy rodzaje środków upiększających: suche, tłuste i płynne, a sposób nakładania na twarz zależy od ich rodzaju. Zresztą każda adeptka tej sztuki posiada własne spostrzeżenia i doświadczenia. W ogólnych zarysach można tylko tyle zaznaczyć, że o wyborze i odcieniu kosmetyków decyduje typ urody; innych wymaga blondynka, a innych — brunetka. Pozatem niezmiernie dyskretnie należy ich używać w ciągu dnia; wieczorne światło pozwala na trochę śmielsze zabiegi.

Przeważnie używane i najwygodniejsze są suche preparaty, które przed zastosowaniem wymagają cienkiej warstwy tłuszczu na skórze. Nadmiar tłuszczu usuwa się delikatnie watą, lekko przypudrowuje i dopiero nakłada się róż, również przy pomocy waty. Na zakończenie i dla wyrównania pokładów: obłoczek pudru. Kształt rumieńca i jego wielkość zależy od budowy policzków, co musi być przez każdą jednostkę odrębnie wystudjowane. Najlepiej podpatrzeć chwilę naturalnego zarumienienia. Pożądany odcień różu trzeba mieć przygotowany dokładnie, gdyż wszelkie poprawki wypadają niekorzystnie.

Przy białej cerze i przy sztucznem świetle lepszy efekt daje róż tłusty. Wymaga on, tak jak suchy, poprzedniego natłuszczenia skóry. Dr Paschkis radzi nakładać go lekko palcami, wyrównać delikatnie flanelką lub irchą i przypudrować. Blondynkom zaleca najbledszy odcień różu.

Płynny róż stosować należy na wilgotną skórę, gdyż zapobiega to brzydkim i zdradliwym zacieknięciom. Zupełnie, jak przy akwareli. Odświeżyć twarz łagodną emulsją i szybko nałożyć płyn pendzelkiem lub zwitkiem waty. Po wyschnięciu, przypudrować. Dr Paschkis uważa płynne barwiki za najmniej polecenia godne, gdyż podejrzewa je o sprzyjanie powstawaniu wągrów.

Pudry w płynie czy w proszku nie powinny nigdy być zupełnie białe; są za widoczne i wyglądają nienaturalnie. Trzeba im nadać odcień ciała: kremowy, żółtawy, różowy. Bardzo korzystny odcień, to „Rachel“, znany zapewne wszystkim Paniom.

Oprócz twarzy, podlegają drobnym różanym poprawkom uszy, usta a czasem nawet nosek od wewnątrz. Oprawa oczu dostaje bardzo dyskretny odcień błękitny, a rzęsy i brwi brunatny lub czarny. Są to wszystko rzeczy wymagające tak umiejętnych i subtelnych pociągnięć, że kto nie terminował w tym zawodzie, niech nawet nie próbuje. Wszelkie, choćby najdokładniejsze opisy są najkompletniej niewystarczające. — Bardzo przezornie wybierać należy barwiki do ust a przedewszystkiem wystrzegać się cynobru.

Niezmiernie ważnym momentem kosmetycznym jest gruntowne usunięcie barwików i oczyszczenie skóry na noc. Letnią wazeliną lub masłem kakaowem nasycić skórę, poczem leciutko zbierać tłuszcz wraz z barwikami watą lub miękkim płatkiem płótna, czy batystu. Gdy już na wacie nie będzie śladów barwików, dopiero wówczas umyć twarz przegotowaną wodą i jajem.

Jeśli nawet zupełnie nieszkodliwe środki wchodzą w skład barwików, nie ulega kwestji, że nadużywanie ich musi zczasem spowodować niekorzystne zmiany w cerze. Takie pokłady tłuszczów, pudrów i t. p. utrudniają skórze prawidłowe oddychanie i zatykają gruczoły łojowe. W rezultacie skóra wiotczeje, traci elastyczność, staje się podatna do wyprysków, wągrów i więdnie.

Jeśli ten obraz nie odstraszy Pań — niech korzystają z podanych niżej recept.

Suchy róż

- Łojku . . . . 50·0 g
- Karminu najlepszego . . 1·0 „

Róż tłusty dla blondynek

- Karminu najlepszego . . . 14·0 g
- Łoju oczyszczonego . . . 120·0 „
- Cerezyny . . . . 20·0 „
- Esencji fiołkowej kropel . 10

Róż tłusty dla brunetek

- Goldcreamu . . . . . . 10·0 g
- Lanoliny . . . . 7·5 „
- Tlenku cynku . . . . . . 7·5 „
- Karminu najlepszego . . . 0·1 „

Róż płynny dla blondynek

- 2% rozczynu eozyny kropel 30
- Rozczynu karminu kropel 10
- Wody różanej . . . . . 125·0 g
- Gliceryny . . . . 10·0 „

Róż płynny dla brunetek

- 2% rozczynu eozyny kropel 10
- Rozczynu karminu „ 20
- Spirytus. wyciągu różanego 20·0 g
- Wody różanej . . . . . . 100 cm³
- Gliceryny . . . . 10 „

Róż jako pasta dla blondynek

- Karminu najlepszego . . . . 8·0 g
- Łojku . . . . 120·0 „
- Rozczynu gumy Tragacantae kropel . . . . 10—15
- Olejku z migdałów słodkich kropel . . . . 6—10

Róż jako pasta dla brunetek

- Lanoliny . . . . 5·0 g
- Tynktury benzoesowej kropel 10
- Masła kakaowego . . . . 5·0 g
- Karminu . . . . 0·1 „
- Łojku . . . . 10·0 „
- Goldcreamu . . . . . . 10·0 „
- Wody różanej wedle potrzeby

Róż na usta

- Świeżego masła deser. . 25·00 g
- Wosku żółtego . . . . . 1·25 „
- Czarnych rodzynków . . 5
- Czerwienicy barwierskiej 40·00 g

Barwik niebieski jako pasta

- Błękitu pruskiego . . . 2—5·0 g
- Wazeliny białej . . . . . 100·0 „
- Esencji bodziszka krwistego kropel 10

Barwik czarny suchy

- Sadzy . . . . 100·0 g
- Gumy arabskiej w proszku 3·0 „
- Esencji różanej kropel . . 5

Barwik czarny tłusty

- Sadzy . . . . 5·0 g
- Lanoliny . . . . 5·0 „
- Wazeliny . . . . 5·0 „

Do środków domowych, nieskomplikowanych, przyciemniających rzęsy i brwi należą: opalony nad świecą korek, albo migdał. Oba dają raczej brunatne zabarwienie; pierwszy suchy, drugi tłusty.

Efeb

SOFOKLESA EDYP KRÓL

NA SCENIE TEATRU NARODOWEGO W WARSZAWIE

TRAGEDJA grecka na naszej scenie to niepowszednia rzecz. I niepewna. Można się było zgóry obawiać na scenie wielkich ukośnych trójkątów, umyślnie krzywo ustawionych kolumn, z premedytacją źle narysowanych schodów, kabalistycznych ruchów, zamiast naturalnego gestu, błazenkowatych kostjumów, wogóle: tej udanej atmosfery domu obłąkanych, którą w ostatnich latach ludzie z miasta cierpliwie w plastyce i na scenie znoszą, a podający się za wtajemniczonych mówią, że to nowoczesna ekspresja, czysta forma — jak który chce, zresztą.

W teatrze lampy zwolna zgasły. Spóźniający się widzowie trzaskali jeszcze głucho krzesłami, ale już zaczęło w grubej ciemności dolatywać z poza kurtyny pianissimo orkiestry. Coś uroczystego szło zoddali po ciemku. Wybitny publicysta w parterze tłumaczył jeszcze sąsiadce półgłosem skuteczność wód karlsbadzkich. Ciche syki zniecierpliwienia, orkiestra coraz bliższa i coraz wyraźniej ponura; wreszcie kurtyna zaczęła wolniutko sunąć w górę.

Dużo nóg ciemnych na pomarańczowem tle, tłum na scenie na całej szerokości obrazu. Wyraziste sylwety wyciągają ręce do nieba i wznoszą gałęzie laurowe. W tle, niezbyt głębokiem, olbrzymia przednia ściana jakby świątyni doryckiej. Cztery dobrze rowkowane kolumny sięgają prawie że do górnej ramy obrazu. Nad wysokiemi, szerokiemi schodami drzwi, prowadzące do wnętrza pałacu królewskiego, bo to nie świątynia, tylko dom króla Edypa w Tebach. Tłum się modli.

Żadnych kotar, trójkątów, groteski. To, co widać, jest proste, ludzkie, wielkie. Jedyny kaprys to nadmierna smukłość kolumn doryckich w tle. Ono się w swym rysunku nie zmienia w ciągu sztuki. Ale można się do tych kolumn przyzwyczaić po paru minutach i darować im nawet to, że się lekko chwieją i trzęsą, kiedy się o którą z nich bohater próbuje oprzeć w efektownym geście.

Tłum w pewnym momencie pada równocześnie na ziemię i kłębi się na pierwszym planie sceny u samego dołu, okryty mrokiem; skomli zcicha i zawodzi wyjąc dyskretnie. Odsłonił teraz schody pałacu zajmujące całą szerokość sceny. Na środku, na przodzie ustawiony ołtarz ofiarny w kształcie jakby grubo ociosanej głowicy jońskiej. Na nim płomień bezdymny, czerwony. Górą kolumny toną w półmroku a dół pałacu i schody oblewa pomarańczowo-różowy blask. Na tem ciepłem tle odbijają bladozielonawym refleksem rozjaśnione z przodu a jaskrawym, czerwonym żarem słońca zaakcentowane z lewej strony postacie chóru starców z długiemi, białemi brodami. Wszyscy biało udrapowani, nawet dość po grecku, oparci na kijach wysokich, stoją szeregiem po lewej i po prawej, raz profilem, szereg ku szeregowi, jak na płaskorzeźbie, drugi raz frontem do widza. Jeden starzec obok drugiego, w jednej warstwie obrazu.

Dwaj przodownicy mówią równocześnie za cały chór. Mówią rytmicznie, wyraźnie, słychać każde słowo; refreny powtarza chór unisono. Gesty mają powolne, mierzone; przodownicy ręce trzymają często jak na Dominus vobiscum. Widać, że to nie dramat, który zmierza do złudzenia rzeczywistości, tylko uroczyste nabożeństwo, odprawiane kiedyś na cześć Dionyzjosa.

W drzwiach pałacu zjawia się król Edyp w teatralnym, niby greckim, kostjumie, wygolony, o nerwowej, trochę kobiecej, twarzy. Przez cały czas akcji on zostaje u góry i na schodach, widoczny w całej postaci, od rzadkiej czarnej peruki, aż do złotych grubych koturnów, któremi ostrożnie stąpa po stopniach, kiedy mu jakiś gwałtowniejszy ruch wypada. Tłum i chór trzymają się niżej. Przez cały czas akcji kompozycja sceny jako obrazu prosta, przejrzysta, symetryczna, oblana barwnemi światłami, piękna. Widowisko pierwszorzędne.

Treść tragedji przeważnie znana. Niektórzy piszą, że jakoby wiecznie młoda, żywa, aktualna, że nie widać na niej śladów czasu. Tak, że niejeden dzisiejszy recenzent wzrusza się widowiskiem tak samo, jak człowiek współczesny Sofoklesowi. Zobaczymy.

O cóż chodzi w sztuce? Oto, w Tebach panuje epidemja. Lud, nieoświecony i nie używający mydła, nie ma jeszcze pojęcia o dezynfekcji mieszkań, kanalizacji i tym podobnych wynalazkach, które i dziś dochodzą dopiero zwolna do Łodzi i do dalszych ulic Warszawy. Modli się więc do Apollina i za najlepsze uważa posłać do wyroczni z prośbą o radę. I dziś tak robią po przedmieściach i po wsiach, kiedy dziecko komuś zachoruje.

Wyrocznia powiada, że zaraza ma powód natury moralnej. Nie odszukano dotąd mordercy poprzedniego króla Laijosa, który był zginął w jakiejś bitce w wąwozach Fokidy, na rozstajnych drogach. Stąd zaraza. Odszukajcie i ukarzcie zabójcę, powiada bóg, a zaraza ustanie. Naiwny pogląd na genezę epidemij. Żadna nie powstaje przez zabagnienia w śledztwach.

Tymczasem na tronie Laijosa siedzi od szeregu lat przybysz z Koryntu, który się nazywa Spuchłanóżka, po grecku: Edyp. Zasłużył się około miasta; uwolnił je od zmory. Zmorą był Sfinks. Półlew, półkobieta. Siedziało to u bram miasta i zadawało przechodniom zagadki. Kto zagadki rozwiązać nie umiał, ginął w szponach Sfinksa. Edyp szczęśliwie zdał ten egzamin, bo odgadł, co to za zwierzę chodzi rano na czterech nogach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech. To człowiek. Czołga się, jako dziecko, na czworakach, gdy dojrzeje, chodzi na dwóch nogach, a pod zachód życia podpiera się na lasce. Niedobry Sfinks tak się zawstydził i zmartwił, że jego zagadka okazała się zbyt łatwa, że zginął śmiercią samobójczą, a wdzięczni, acz niedomyślni, Tebanie oddali swemu wybawcy tron wakujący po śmierci Laijosa i wdowę po nim, Jokastę, za żonę. Starsza była od przybysza o dobrych kilkanaście lat, ale pełna życia kobieta, a stanowisko i wtedy wiele znaczyło.

Króluje tedy Edyp w Tebach i nie myśli nawet o tem, że kiedyś tam, przed laty, zabił był na rozstajach Fokidy jakiegoś starszego nieznajomego, który mu z drogi nie chciał ustąpić. Na tle ówczesnego poczucia etycznego taka przygoda musiała być drobiazgiem bez znaczenia; dość, że nie obciążała sumienia królewskiego. Zabójstwo było zresztą nieumyślne, dokonane w kłótni, przypadkiem. Z Jokastą żył Edyp szczęśliwie szereg lat; miał z nią czworo dzieci, rządził dobrze, był zadowolony ze swego losu a poddani z niego.

Kiedy się lud do niego zwraca o pomoc i radę podczas epidemji, a wyrocznia nawołuje do śledztwa w sprawie śmierci Laijosa, Edyp posyła po wróżbitę Tejrezjasza, bo nie było pod ręką lepszego sposobu na wykrycie sprawcy. Podobnie jeszcze w roku 1924 w Warszawie poszukiwano rodziców pewnej panienki, zbiegłej z domu rodzinnego, nie z pomocą policji, tylko za pośrednictwem osób „jasnowidzących“, które na ten temat w pewnem towarzystwie o tytule naukowym plotły w rzekomym transie, jak Piekarski na mękach.

Tejrezjaszowi powiodło się lepiej. Poirytowany w rozmowie z królem, oświadcza, że to on sam, Edyp, jest zabójcą Laijosa. Król, który już był zgóry przeklął i na srogie kary skazał nieznanego królobójcę, wpada zrazu we wściekłość i domyśla się jakiejś ukartowanej intrygi familijnej, do której wciągnięto wróżbitę, aby go tronu po Laijosie pozbawić. Przypomina sobie jednak przygodę w Fokidzie na rozstajnych drogach i zaniepokojony na dobre rozpoczyna energiczne śledztwo. Oto, co wychodzi na wierzch.

Nieboszczykowi Laijosowi przepowiedziała była swego czasu wyrocznia, że zginie z ręki syna. Więc, kiedy mu się syn urodził, postanowił niemowlę zgładzić. Kazał je więc służącemu wyrzucić w pustkowiu górskiem, aby tam zginęło marnie. Wierny służący powiesił dziecko za nogi na drzewie, przebiwszy mu stopy. Mimo ten barbarzyński zabieg, chłopak nie zginął, bo odciął go od drzewa jakiś obcy, litościwy pasterz, opatrzył mu spuchłe stopy i oddał go na wychowanie królowej Koryntu. Tutaj go później towarzysze zabaw młodzieńczych nazywali Spuchłąnóżką i mówili, że jest podrzutkiem, bez ojca i matki, podczas gdy on sam uważał za swych rodziców królewską parę w Koryncie.

Rozdrażniony, zwrócił się o wyjaśnienie sprawy do wyroczni w Delfach. Apollon, zapytany, ostrzegł go: „Nie wracaj do domu, bo zabijesz ojca, a ożenisz się z matką!“ Perfidne ostrzeżenie, zamiast uczciwej informacji. Edyp, posłuszny głosowi bóstwa, który wedle najlepszej swej wiary i woli rozumiał, omija Korynt, żeby strasznego losu uniknąć, i wpada w wąwozach Fokidy na Laijosa u rozstajnych dróg. Zabił go niechcący, nie wiedząc, że własnego ojca zabija. Ożenił się z Jokastą, nie wiedząc, że się z własną matką żeni. Tak mu było, nibyto, pisane.

I byłby się czuł szczęśliwy, gdyby nie te informacje dotyczące własnego pochodzenia i dalszych losów. Ściągnął je na siebie z ust boskich, kiedy wszczął śledztwo w sprawie królobójstwa, aby miasto od zarazy uwolnić. Odkryta prawda doprowadza go do skrajnej rozpaczy. Jokasta wiesza się w poczuciu zbrodni, której nie popełniła, bo nie wiedziała, że za syna wychodzi, Edyp wybija sobie oczy. Czuje się ojcobójcą, kazirodcą, winnym zarazy na mieście, królobójcą, w afekcie skazuje sam siebie na dożywotnią ślepotę i wygnanie.

Chór nabożny powiada na to, że nikogo przed śmiercią nie wolno nazywać szczęśliwym. Przez pół godziny widz ogląda wydłubane oczodoły i słyszy skargi tego, który w purpurze chodził jeszcze przed godziną i był wzorem władcy na tronie. Chór dalej czci bogów i zdaje się wierzyć w moralny porządek świata, w potęgę, rozum i dobroć bóstw.

A jednak na to widowisko wzdryga się poczucie moralne oświeconego człowieka. Przecież ten bohater o dobrych, w gruncie rzeczy, skłonnościach, jest igraszką w ręku złośliwych bóstw. On przecież żadnej zbrodni nie popełnił, bo do każdej potrzeba złego zamiaru i świadomości czynu. On nie jest ani ojcobójcą, ani kazirodcą, ani królobójcą, ani sprawcą epidemji na mieście. Żadnego przestępstwa nie popełnił świadomie i z zamiarem. Kto więc winien wszystkiemu? Apollo. To, co wygląda na „nieuchronne“ przeznaczenie, jest wynikiem słów Apollina. Mało go przecież kosztowało powiedzieć temu człowiekowi w Delfach: „Nie jedź do Teb“, albo: „Nie żeń się z Jokastą, bo to twoja matka“, albo: „Jesteś synem Laijosa i Jokasty“. Żaden z dobrych bogów nie ostrzegł go i nie oświecił. Swą biernością i perfidją stworzyli to, co wygląda na nieodparty los. Pod ich okiem i pod ich rządami porządny człowiek wpada fatalnie raz po raz, kiedy żywi najlepsze zamiary. Męki niewinnego człowieka budzą w cywilizowanych duszach współczesnych nieuchronny protest. — Porządek moralny w odczuciu współczesnych ludzi myślących nie dopuszcza żadnej męki niewinnej. I nie dopuszcza tego, żeby ktoś inny ponosił karę za kogoś drugiego. Niegodziwością też ze strony Apollina było karać zarazą Teban za rzekome zbrodnie ich dobrego króla, za czyny, którym sam Apollo mógł był łatwo zapobiec a nie zapobiegł. Jakże ciemny był lud i jak niskie jeszcze miał poczucie etyczne, skoro mógł czcią otaczać istoty pomyślane jako typy chytre, złośliwe, okrutne. Nawet ogień trzeba im było dopiero wykradać z Olimpu.

Los Edypa smutny; niewątpliwie. Ale, bodaj, że największem jego nieszczęściem jest ciemnota, na której tle wyrósł. Tragedja Sofoklesa jest wykopaliskiem. Treścią swą najłatwiej potrafi przemówić do tych, którzy wierzą w zbrodnie bez złego zamiaru, uznają zbiorową odpowiedzialność niewinnych za rzekome winy cudze, dopuszczają moralną genezę epidemij, radzą się wróżbitów, podrzucają dzieci, miewają zajścia po rozstajnych drogach, żenią się z kobietami o kilkanaście lat starszemi, nie interesując się ich przeszłością — poza tem, to człowiek wychodzi z teatru z ulgą, że czasy Edypa mijają powoli.

Władysław Witwicki

NASZE POSŁANNICTWO

Chlubimy się chętnie tem, że mamy kulturę rzymską. Niejednokrotnie można słyszeć lub czytać o tem, że Polska ma bardzo ważne zadanie do spełnienia w środku Europy, jako ostatnia placówka cywilizacji zachodniej, wysunięta przeciwko żydowsko-bizantyńskiemu wschodowi. Jak przed wiekami broniła chrześcijaństwo przeciw najazdowi muzułmanów, tak teraz bierze posłannictwo obrony i zasłaniania Europy przed najazdem antispołecznego, antireligijnego i antinarodowego wschodu.

To pewna, że taka jest rola dziejowa Polski. Dopóki Polska zostaje wierną temu posłannictwu, dopóty rośnie i rozwija się. Ilekroć zaniedba spełniania swojej misji, upada. Bolesławowie (Chrobry, Śmiały, Krzywousty) wnosili w te strony, nowożytne dla nich, choć ze starej rzymskiej kultury zaczerpnięte, pojęcie państwa, jego organizację i jego zadania. Dla kłótliwych i niesfornych plemion słowiańskich była to nowość, tak obca, tak niedostępna ich pojęciom, że się przeciw niej buntowały. Tylko rozum, genjusz i potęga Bolesławów umiało im tę nowożytną ideę narzucić po prostu siłą. I wtedy Polska była mocarstwem, równem co do znaczenia cesarstwu rzymskiemu Niemców, oraz cesarstwu rzymskiemu Greków konstantynopolitańskich. Te zaś plemiona słowiańskie. które w imię swoich nawyczek oparły się pochodowi nowej myśli i nie dały sobie narzucić polskiej państwowości, zginęły marnie. Połowa Niemiec dzisiejszych od Salawy (Saale) i Łaby, ponad Hawelę, Sprewę, Odrę jest cmentarzyskiem tych Słowian, którzy odrzuciwszy wyższą, nowożytniejszą, doskonalszą formę państwa, wzorowanego na pojęciach rzymskich, tudzież rzymską organizację religji chrześcijańskiej, nie znaleźli w sobie dość siły ani duchowej ani materjalnej, aby się oprzeć zgermanizowaniu. Dziś tylko nazwiska Schwerin (Zwierzyn), Strelitz (Strzelec), Görlitz (Zgorzelec), Stettin (Szczecin), Breslau (Wrocław), Leipzig (Lipsk), Dresden (Drezno), Bautzen (Budziszyn), Berlin i t. d. świadczą, że tam mieszkali i pomianowali po swojemu osady Słowianie, z których ślad żaden nie pozostał.

Testament Bolesława Krzywoustego, dzielący Polskę na samodzielne księstwa, był odstępstwem słowiańskiem wobec idei rzymskiej, czyli zarzuceniem tej idei. To też przez półtora wieku zgórą Polska prawie przestała istnieć: sprzeniewierzyła się posłannictwu i okazała się zbyteczną w europejskim układzie sił. Książęta dzielnicowi, zbyt po słowiańsku niesforni, aby się trzymać razem, byli za słabi do odpierania Niemców. Symbolem tego upadku może być Książę Wielkopolski Bolesław, który musiał boso i w koszuli, z mieczem uwiązanym dla hańby na powrozie u szyi, iść do namiotu cesarza Fryderyka i upaść przed nim czołem. Oto dorobek wyrzeczenia się idei rzymskiej. W tym czasie upadku Niemcy zabrali na zawsze nietylko Miśnię i Łużyce, na których rozsiedli się Saksonowie, ale i Śląsk z Lignicą i Wrocławiem, kawał Wielkopolski z Santokiem i Drezdenkiem, Pomorze właściwe ze Szczecinem (przy nim wyspy: Rugię, Usedom, Wolin) i Kołobrzegiem, a nawet Prusy z Gdańskiem i dostali się do Chełmna oraz Dobrzynia. Odra, która za Bolesławów była rzeką polską od źródeł do ujścia

przy Szczecinie i zapadłej w morze Jumecie, przestała być polską politycznie, a potem i narodowo. Obszary Lignicki, Santocki, Szczeciński i Kołobrzeski zachowywały polszczyznę w ustach ludu do XVII wieku, to jest prawie przez 400 lat, ale potem i to się skończyło. W XIX wieku zgermanizowano Wrocławskie, Wschowskie, Lemborskie i tak przez sprzeniewierzenie się idei rzymskiej, która stworzyła naród i państwo polskie, polszczyzna straciła prawie 200 tysięcy kilometrów kwadratowych rdzennego polskiego kraju na zachodzie i straciła go niepowrotnie. Dziś Odra jest rzeką etnograficznie niemiecką.

Ale z rzymskich urządzeń pozostała na czas podziałów jedna: organizacja kościelna. Polska stanowiła od czasów Chrobrego jedną prowincję kościelną pod zwierzchnictwem arcybiskupa gnieźnieńskiego, któremu podlegali nietylko biskup krakowski, płocki, poznański, kruświcko-włocławski, ale i kołobrzeski na Pomorzu i wrocławski na Śląsku. Biskupi i prałaci odbywali swoje synody, a te synody były przez półtora wieku jedynym znakiem jedności tej niezgodnej, rozdartej na dzielnicy ziemi. U warstw oświeconych żyło wspomnienie minionej wielkości i chwały, oraz ożywiało się uczucie wstydu z powodu takiego upadku. Zbierały się więc czynniki, na których można było oprzeć próbę zjednoczenia i przywrócenia dawniejszej potęgi.

Przemysław Wielkopolski oparł się na organizacji kościelnej i zjednoczył Polskę, koronując się w Gnieźnie na króla polskiego w roku 1295. Zaraz jednak został zamordowany przez margrabiów brandenburskich, którzy się zlękli o ziemie, zabrane Polsce, a stanowiące w dzisiejszej Brandenburgji Ukermark i Ostmark.

Dzieło jego podjął Władysław Łokietek. Ten jest właściwy twórca nietylko państwa, ale i narodu polskiego jako całości, świadomej siebie. Bolesławowie narzucali gwałtem i utrzymywali siłą jedność państwową wbrew odśrodkowym dążnościom Ślązan, Pomorzan, Wielkopolan, Mazowszan, Wiśliczan i t. d. Łokietek znalazł już pierwiastki zjednoczenia w uczuciach narodu, a jego niebywałe trudy były tylko usuwaniem przeszkód, jakie temu zjednoczeniu przeciwstawiały się ze strony Krzyżaków, Czechów, samolubnych książąt i zniemczonych miast.

Jego pobyt na pierwszym wszechkatolickim jubileuszu za Bonifacego VIII roku 1300 w Rzymie, jego bliskie stosunki przymierza i pokrewieństwa z królami Neapolu i Węgier z dynastji Anjou, są dowodem, że odnawiając Polskę, szukał siły moralnej i umysłowej u źródeł, to jest w Rzymie i na łacińskim zachodzie. W kraju zaś jedyna pozostałość po zachodnio - rzymskich usiłowaniach Bolesławów, to jest organizacja kościelna była mu ogromną pomocą. Po trzydziestu latach niestrudzonego znoju udało się Łokietkowi zjednoczyć, ale tylko Wielkopolskę z ziemią krakowską i sandomierską, oraz nakłonić książąt mazowieckich do uznania swojej suwerenności i tak odrodziło się nowe Królestwo Polskie. Nie powinno było się nawet nazywać polskiem, bo nie Polanie z nad Warty, od Poznania i Gniezna zlutowali je na nowo — ale tradycja jedności, narzuconej przez polańskich czyli polskich monarchów, wspomnienie dawnej potęgi i wielkości, chęć odnowienia przeszłości, które ułatwiły dzieło Łokietkowe, znalazły wyraz w przywróceniu dawnej nazwy. Niestety, tylko nazwy. Nowa Polska została odsunięta od średniej Łaby i od całej Odry i dlatego ani Poznań ani Gniezno nie nadawały się już na jej stolicę — dlatego nowa Polska umieściła stolicę w Krakowie, gdzie się koronował Łokietek.

Kazimierz podniósł to niewielkie państwo do niebywałego blasku i dobrobytu. Pod względem oświaty zapożyczył wzoru z Włoch, bo założył uniwersytet, wzorowany na bolońskim. Budownictwo przejął od Francji za pośrednictwem swojego szwagra, króla Węgier, z normandzko-francuskiej dynastji d'Anjou, oraz za pośrednictwem napół sfrancuziałych królów czeskich z dynastji luksemburskiej. Uporządkowanie prawne nowego państwa jest jego ogromną zasługą, a zarazem dowodem ścisłej łączności z zachodem, wiadomo bowiem, że prawo jest nieprześcignionym dotąd dorobkiem starożytnego Rzymu.

Niewielka Polska Kazimierza przez swój ład, rozkwit, bogactwo i oświatę zaczęła wywierać wpływ przyciągający na sąsiednie państwa, jak Węgry, Czechy, Litwa z Rusią i cała Rumunja, podówczas podzielona. Nad Wisłą odżyła świetna placówka cywilizacji rzymsko-zachodniej i promieniowała dokoła. Polska przypomniała sobie swoją misję. Następują cudowne czasy: Jadwiga (z rodziny francusko-węgierskiej d'Anjou) nawraca Litwę właściwą na obrządek rzymsko-katolicki, czyli rozszerza obszar wpływów cywilizacji rzymskiej, zachodniej. To też syn jej męża Władysław Warneńczyk zostaje królem węgierskim i w ten sposób stwarza ogromne państwo, sięgające od Bałtyku przez Węgry do Morza Adrjatyckiego, a przez litewską Ruś do Morza Czarnego. I czasy jego brata Kazimierza Jagiellończyka należą do najświetniejszych.

Dopiero za synów Kazimierza myśl przewodnia zaczyna się mącić. Zamiast szerzenia kultury rzymskiej na Wschodzie zaczyna się przemyśliwać o kompromisie między rzymskim Zachodem a bizantyńskim Wschodem. Czechy i Węgry odwracają się od takiej połowicznej Polski. Próba kompromisu przybiera w polityce charakter Unji Lubelskiej 1569, a w religji charakter Unji Brzeskiej 1595. Polska przestaje być placówką cywilizacji łacińskiej, a staje się czemś przejściowem złożonem pośredniem między Zachodem a Wschodem. Im później w lata, tem łączność z Zachodem staje się luźniejsza.

Kiedy za Jagiellończyka Długosz historyk nawołuje do odzyskania Śląska, kiedy równocześnie kardynał Oleśnicki, nie widząc chwilowo możności odzyskania go, kupuje księstwa Zator, Oświęcim, aby bodaj cząsteczki odebrać, zanim przyjdzie czas na odebranie całości, to w trzysta lat później, za Sobieskiego, kiedy rycerstwo jedzie na odsiecz Wiednia, nie może się wydziwić, iż na Śląsku można się rozmówić po polsku. Ale myśl zjednoczenia tego kraju z Polską nawet jako marzenie nie przychodzi nikomu do głowy. Oni wszyscy są już w duszach, w umysłowości zruszczeni i dla spraw rdzenno polskich zachodnich nie mają zmysłu. Polska za czasów królów obieralnych stała się Wschodem, Rusią, mówiącą językiem pośrednim, między wielkopolskim a ruskim.

A Ruś organizowali wtedy Rosjanie i dwóch organizatorów Rusi było zbytecznych. Oświata u nas upadła i nawet pod tym względem Polska nie była w tych stronach żadną placówką. Zerwawszy związek z Zachodem, stawała się niepotrzebną zawadą dla Rosji, organizującej Ruś czysto po wschodniemu, bez domieszek łacińskich, i dla Prus, które wziąwszy organizację państwową, polityczną i wojskową z wzorów francuskich, stawały się placówką Zachodu przeciw Wschodowi.

Za Stanisława Augusta zaczęto gorączkowo nawiązywać z Zachodem, a właściwie tylko z Francją. Gorączkowa ta praca nie zdążyła uratować państwa, ale uratowała naród. Dorobek tej epoki pozwolił przetrwać półtora wieku niewoli i doczekać się odrodzenia. Ale Polska odrodzona będzie mogła utrzymać się i rozwijać o tyle tylko, o ile nawiąże do źródeł swojego państwowego i narodowego życia, to jest do ścisłego związku z Zachodem. Polska albo utrzyma się i rozwinie jako placówka cywilizacji łacińsko-rzymskiej, jako ostatnia czata Zachodu, albo zginie, sprzeniewierzywszy się tej idei, jako czynnik nikomu do niczego nieprzydatny, a Rosji i Niemcom zawadzający.

Dlatego tak ważną jest rzeczą poznać istotę cywilizacji zachodnio-rzymskiej i nasze braki w tym kierunku stosownie uzupełniać, ażeby się utrzymać. Czasy dzisiejsze podobne są do Łokietkowych. Pracujmy, aby po nich przyszły czasy Kazimierza Wielkiego i pierwszych Jagiellonów.

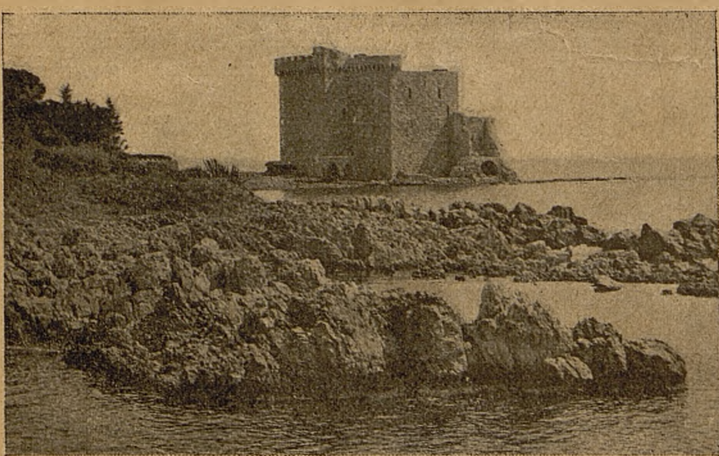
Jan Zamorski

KRÓLESTWO WRÓŻKI ESTERELI

LISTY Z PROWANCJI

II

Nie omylił się Mistral, gdy w postaci wróżki Estereli, oswobodzonej przez biednego rybaka z Cassis, usymbolizował Prowancję samą. Legenda i historja, nierozerwalnie zresztą z sobą związane, jak dwa zwierciadła, naprzeciw siebie stojące, odbijają w nieskończoność tę odwieczną za wróżką gonitwę w dziejach Prowancji. Wielki wizjoner przeszłości, historyk Camille Jullian zastanawia się nad tą mistyczną niemal władzą Prowancji, która czyniła z niej jakby atrakcyjny biegun całego świata, ku któremu



Wyspa św. Honorata

szły ludy zewsząd. — Zdawałoby się, że roztacza ona czar i na przyrodę: legenda ukazuje nam dziki, z Korsyki gromadnie ku porfirom Estereli płynące, a gonitwa odwiecznego obdartusa i szaleńca, rzeki Waru, jest wiernym obrazem gonitwy, jaką wybrańcy Estereli odbywać muszą przez życie. — Bo kto się zaciągnął w jej służbę, rozstać się musi na zawsze z Pokojem. — Już nawet antyczne legendy, związane z tą ziemią, mówią nam o tem. Oto Atlanic, brat Hesperusa, wewnętrznym niepokojem pędzony, rzuca cudne ogrody Hesperyd dla mroków północnych mórz. Melkart fenicki ucieka od jarmarcznego zgiełku kupczyków, by drogi zawieszać na zboczach i śnieżnych przełęczach Alp. Heraklesowi nie obce jej królestwo. Podnoszą się głosy, że tu właśnie hydrę wielogłową zwyciężył: na pustaciach Kamargi, hydrę, w którą przemienił się wieloramienny Rodan. Olbrzyma Tauriskosa pokonał w okolicach Donzère. A Eschyl i Dionis z Halikarnasu opowiadają, jak bydło Gerjona pasie na łąkach Theline karmicielki (Arles dzisiejszego), a gdy olbrzymi Albjon i Gerjon, ponoś wodzowie Ligurów wedle Pomponjusza Meli, przemożnemi nacierają siłami, Zeus ojciec zsyła deszcz głazów na pomoc. Nad Rodanem ukazało się Heraklesowi piękno tej ziemi w postaci Galatei, ku której czci ludność wiedzie tańce z girlandami i pochodniami, pierwowzór wdzięcznej farandoli. Galatea — oto oblicze antyczne wróżki; opęta ona nieszczęsnego Polyfema i tułać mu się każe po wybrzeżach i pod skałami St. Jeannet (koło Grasse), przyzywać nieuchwytną dźwiękami fletu. Muzyka i śpiew bowiem szczególnie wróżce są miłe. Obok tych mitologicznych postaci oto już inni, historyczni gońcy ideału, zdobywcy Nieznanego: Telefanes z Marsylji, kolonji greckiej, którego opęta czar Wschodu i każe mu, po długiej tułaczce, ozdabiać tworami wyobraźni swojej pałace Kserksesa. Oto Enthymenes i Pytheas, masaljoci, którzy pragną rozszerzyć granice starożytnego świata, pierwszy ku głębi Afryki i Senegalowi, drugi po Bałtyk, po Ultima Thule, po lody biegunowe. Wkońcu, w rzymskiej już Marsylji, otworzy oczy Petronjusz, którego tęsknoty za nieuchwytnem pięknem cały świat starożytny nie ukoi. — Później Esterela przybiera postać inną, która ludzi naprawdę do oglądania twarzą w twarz najwyższego Piękna - Boga doprowadzi i jako Santo Estello, gwiazda betlejemska, trzech magów wiedzie ku białym skałom Baux. — Ona to prowadzi łódź Trzech Maryj (M. Salome, M. Jacobi i M. Magdaleny) oraz rodzeństwa z Betanji i Maximiana ku wybrzeżom Kamargi, gdzie do dziś walczy z falami świątynia, legendzie tej poświęcona. Santo Estello Maximianowi każe pójść w góry Marsylskie, M. Magdalenie w pustelnię St. Baume, Marcie zwyciężyć potwora Taraskę w dzisiejszym Taraskonie, a Celoidonowi walczyć z Olbrzymami Alp w Devolny. I jakby ku ziemi, piętnem świętości znaczonej, ku Alyscamps, arelackiemu cmentarzowi, płynąć będą już w historycznem średniowieczu trumny z obolem pogrzebowym w ustach zmarłych, ze wszystkich okolicznych ziem. Na tych samych polach cesarz Konstantyn labarum, znak święty, zobaczy, dla którego oblicze świata odmieni, chwałę Chrystusowi oddając. Na te pola również przeniesie potem legenda ciała Rolandowych rycerzy i każe zginąć, wraz z Vivienem, męczennikiem-junakiem, kwiatowi chrześcijańskiej młodzi dla miłości krzyża. — Ta gwiazda przywiedzie z Grecji św. Idziego do nadrodańskiej pustelni. I umiłują tę pielgrzymią drogę pątnicy z Polski, a wśród nich sam król Bolesław Krzywousty, który przez Alpy pieszo aż nad Rodan zajdzie. — Przywoła ona z nad Dunaju św. Kasjana od pustyń greckich i Azji i Afryki ku Marsylji. — A nadewszystko nauczy całe chrześcijaństwo śpiewać. Cezarjańskie z Arles i z „czarnej Agde“ edykty zmienią w słupy hymnów monastery pierwsze. Wśród bezkresów Kamargi powstanie „insula psalmodi“, wiecznych hymnów żarowisko abbaye d'Ulmet, i między lazurem nieba a lazurem fal zawiesi się wyspa Św. Honorata, który w długich po świecie wędrówkach zbierać będzie i zwoływać rycerzy miłości bożej. — Wyjdą z tej pustelni, która jak przed wiekami pięcioma i dziś śpiewem i modlitwą rozbrzmiewa, św. Hilary i Faustyn, Antoni naddunajski, Epifanjusz, Eucher, Wilk i Walerjan i Ruryk; anachroniczna legenda każe przejść i św. Ambrożemu, który gdy hymn śpiewał przy dawnej „ara luci“, w okolicy Cannes, porwany przez złe siły, na morze był niesiony i ocaliła go siła śpiewów, z wyspy bijąca. Tak więc, gdy Roma prozą się modliła, wyszedł z Prowancji śpiew na całe chrześcijaństwo, a do wtó-



Aleja grobów na Aliscamps

rej świetności podniósł go znów najdoskonalszy żongler boży, przez matkę syn Prowancji, w śpiewach jej i drogach rozkochany, pieśni i doktryn przez jej trubadurów uczony, nieustający wędrowiec najwyższej miłości — św. Franciszek z Assyżu. A znowu powrotną drogą chwała Marji z niego, jak ze zdroju, wyjdzie, a przez prowansalskiego papieża Jana XXII na świat się rozszerzy cały, gdy wieże Awinjonu rozdzwonią się na Anioł Pański.

Anna Ludwika Czerny

GAŁĄZKA Z ZA PŁOTU

CYKL LIRYCZNY

7. HERBATA NA DWORCU

Krótki pobyt księdza Eugenjusza w Warszawie dobiegł końca. Obiecałem odprowadzić go na dworzec, ale przyszedłszy do hotelu jużem go nie zastał, acz do pociągu zostawało dobre półtorej godziny. — „Prowińćja!“, komentował szwajcar, figlarnie przedrzeźniając kresowy akcent księdza.

Na stacji znalazłem go dopiero w bufecie, prawie pustym o tej porze. Tableau było następujące: Przy jednym ze stolików siedział mój duchowny, zatopiony w pismie trzymanem w lewej ręce, na rozczapierzonych zaś palcach prawej spoczywał spodek zupełnie już zimnej herbaty, na którą ksiądz od czasu do czasu dmuchał odruchowo.

— Kto się sparzył na gorącem... Dzieńdobry księdzu.

— Dzieńńń...kuję, — mówi ks. Eugenjusz heterofemicznie, nagwałt kończąc artykuł. — A, to ty, Janie? Dobrydzień. I dzięki ci, żeś przyszedł. No patrzajcie, druga szklanka mi wystyga.

Widzę, że jest jakiś nieswój. — Rajzefiber?

— E, jaka tam fiber. Człowiek bywa czasem nie w humorze. Znasz tę Revue? Jak sądzisz, trzy ćwierci to pewnie humbug, hę? Ale nie o to idzie. Słuchaj, Jan, liczę na ciebie jak na Zawiszę.

— Do usług. Napijmy się herbaty, dobrze?

— Dobrze; tylko pilnuj, żebym tą razą już naprawdę ją wypił.

— No tak, bo to już będzie trzecia „raza“. A czem mogę służyć?

— Informacjami. Lecz o tem potem. Wszystko ci powiem, ale później. Albo lepiej napiszę ci z Krzemieńca, gdyż o pewnych sprawach łatwiej pisać niż mówić. — Byłem wczoraj na odczycie Falińskiego.

I ks. Eugenjusz patrzy na mnie wyczekująco.

— Doprawdy? Ja także.

— Widziałem cię, — rzecze ksiądz, posępniejąc.

— Tak? Czemuż ksiądz nie podszedł?... Herbata stygnie, proszę pić.

Przenikliwie wlepia we mnie oczy. — Byłeś nie sam?

Czekał, że się zarumienię? To się zawiódł. Mam sumienie czyste jak łza.

— Tak jest, była ze mną kuzynka Elżbieta. Cóż z tego? Zna kochanego księdza dobrodzieja z mych opowiadań, z radością poznałaby go osobiście.

Mój towarzysz nie rozchmurza się. — Przystojna panna.

— Owszem, dosyć.

— Ma ładne rudawe włosy.

— Oho, przyjrzeliśmy się jej! Czy nie wpadła nam w oczko?

— Et, pleciesz, — mówi z niezadowoleniem. Nie, stanowczo nie poznaję go dziś.

Milczymy. Ksiądz szczęśliwie skończył herbatę i patrzy w powałę.

— Słuchaj, Jan, — odzywa się wreszcie; — jak ty o mnie naogół myślisz?

— Po polsku, — stwierdzam niewinnie.

— Aj, pytam poważnie, a ty żartami zbywasz.

— Nie żartuję. Słowo dżentlmena, że myślę o księdzu po polsku, — dowcipkuję pracowicie, gdyż jestem w doskonałym nastroju.

Spostrzegł to. — Ej, czy ta kuzynka, to aby napewno kuzynka? — insynuuje z niesłychaną przebiegłością na zacnej twarzy.

— Głowy na odcięcie bym nie dał, — blaguję.

— ... Jestem nie taki jak wszyscy, prawda?

— Prawda. Ksiądz jest dobry.

— Ten znowu swoje. Chrystus Pan zabraniał nawet Siebie nazywać dobrym, więc nie mów głupstw.

I znów milczymy.

— Ona się zawsze nosi czarno? — pyta po chwili.

(Ani się domyślasz, miła kuzyneczko, jakeś zaintrygowała naszego kapłana!)

— Najczęściej.

Ksiądz Eugenjusz do reszty stracił humor.

Wzmógł się ruch w poczekalniach, zabiegali tragarze.

— No, bądź zdrów, mój kochany, i nie gniewaj się na mnie, — rzekł ksiądz Eugenjusz, uściskawszy mię i biorąc z podłogi tłumoczek. — A na wiosnę przyjeżdżajcie koniecznie. Kupiłem sobie krowę, będzie śmietanka do truskawek. Truskawki ci nie szkodzą?

— Przeciwnie, to ja im szkodzę.

— Pisujcie, tylko nie na gminę. Tę „Revue de Métapsychique“ mogę ci już ofiarować. Ech, Boże! Boże! Podobno przyjdzie mi zostać jej współpracownikiem. Nie byłem na odczycie Falińskiego; w jaki zaś sposób widziałem was, Sam tylko Bóg raczy wiedzieć. Kiepsko ze mną. No, bracie, żegnaj.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

CIENIE I PORY ROKU

Zima. — Najgorszy czas dla cieni:
Chodzą po ulicach wątłe, blade i chore
I kiedy się już dobrze ściemni —
Ubrane w szare futra — wyrzekają na zimową porę.

Ale niech tylko wiosna rozbłyśnie —
Zaraz cieniom pęcznieją brzuszki szafirowe,
Idą się wylegiwać pod rozświtające wiśnie,
Podpatrując, jak krzykliwe chlupoczą blaski w rowie.

Latem wyrastają niby szklane drzewa —
Siedzą pod parkanami, czekają przy ścianach domów —
Nieraz się zgrzany chodnik przez ramię im przelewa —
Opadają wtedy pod ciche stopy samochodu.

Kiedy się wiele ich rozmnoży — to jesień nastaje,
Spacerują cienie po pustych alejach smutne z rozwichrzonym włosem.
Krąży nad niemi niebo niechętne i zsiniałe,
Więc śpiewają jesienne sonaty tragicznym głosem.

PERŁY

Perły nietylko skrywa morze —
Widziałam je wieczorem,
Kiedy księżyc nachylił się do mnie blisko —
Leżały na nim, jak w złotym półmisku —
Perły takie kosztują znacznie drożej.

Zofja Dąbrowska

Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKI

WYWIAD SPECJALNY DLA „ŚWIATA KOBIECEGO“

WYSOKIE eleganckie pokoje, stare meble, dobre obrazy. Atmosfera domu zamożnego i kulturalnego. Cisza, spokój, to „zadomowienie“, zaciszność tak typowa dla mieszkań ludzi starszych, dbałych o swój własny zakątek. Jest to mieszkanie rodziców Heleny Makowskiej.

Chwilę czekam. Przed oczyma przesuwają mi się różne kreacje Makowskiej, epizody z jej filmów. Było ich tyle, że nie potrafię nawet przypomnieć sobie odrazu wszystkich tytułów.

Zjawia się wreszcie urocza „gwiazda“. Jest wysmukła, wysoka, ma śliczne harmonijne ruchy, ładne, wypieszczone ręce i olśniewająco białą karnację skóry. Złote włosy, lekko po bokach zondulowane, obcięte *à la garçonne*. Czarna jedwabna sukienka, przybrana *Georgette*'ą, koloru *saumont*, jasne pantofelki, takie same jedwabne pończoszki. Sukienka krótka, ...nóżki prześliczne. Uwagę zwraca zupełny brak klejnotów.



HELENA MAKOWSKA
sławna artystka filmowa

Widywałam Makowską tylekrotnie na ekranie, nie przypuszczałam jednak, iż w życiu jest tak piękna, uroda jej jest dziwna, niecodzienna. Coś jest w niej niepokojącego, coś — co czaruje i upaja zarazem.

— Tyle już razy udzielałam w Warszawie wywiadów i tyle mówiłam o historji mego życia, że doprawdy nie mam już co powiedzieć — uskarża się z wdzięcznym uśmiechem Makowska.

Ubolewam, przepraszam, lecz mimo to proszę choć o cokolwiek z jej biografji.

— Karjerą moją miała być scena lub estrada — mówi pani Makowska. Uczyłam się śpiewu we Włoszech. Zaproponowano mi na próbę rolę w filmie. Zagrałam... i zostałam gwiazdą. Grałam początkowo we Włoszech, potem w Berlinie, ostatnio w Monachjum. Jednakże zatęskniłam do kraju, do rodziny, do życia spokojnego — i wróciłam do Polski. Praca artystki filmowej jest ciężka, bardzo ciężka, szarpie nerwy, wyczerpuje. Trwa przez cały dzień. Przez cały dzień trzeba być ubraną, uszminkowaną, w napięciu, że tak się wyrażę. Reflektory męczą w okropny sposób oczy. Większość gwiazd choruje na zapalenie oczu, prawie wszystkie mają wzrok osłabiony.

— A czy, mając córkę, pragnęłaby pani dla niej karjery gwiazdy ekranu?

— O, nie! Przecież nie ma się w tem życiu nic dla siebie, ciągle trzeba się śpieszyć, ciągle być dla ekranu. Nawet wynagrodzenia „gwiazd“, stosunkowo dość wysokie, nie są w stanie nagrodzić tych trudów. Zresztą w Europie coraz trudniej być „gwiazdą“, jedynie w Ameryce można mieć wielką przyszłość.

Zapytuję o film „Leo-Filmu“, w którym pani Makowska odtworzyła obecnie główną rolę kobiecą.

— Film ten p. t. „Czerwony djabeł“ — objaśnia — jest nadzwyczaj zajmujący. Zapowiada się świetnie. Nie szczędzono ani trudów, ani kosztów, by go postawić na artystycznym poziomie. Mamy siły techniczne, zdolnych reżyserów, dobry materjał aktorski, więc gdyby przemysł filmowy w Polsce oprzeć na większym kapitale, miałby on przed sobą świetne widoki. Niestety, dotychczas uposażenie artysty filmowego w Polsce jest tak liche, iż każdy z nich przy lada propozycji rad ucieka za granicę.

— Czy pani uprawia sporty — indaguję, z przerażeniem widząc, że czas leci szybko na miłej pogawędce.

— Jeżdżę dużo konno i tańczę. Artystka filmowa musi uprawiać jakieś sporty. Taniec jest nieodzownym warunkiem do karjery filmowej, gdyż dzięki niemu ruchy nabierają specjalnego wdzięku. Większość obecnych wielkich gwiazd to tancerki zawodowe, jak np. Mae Murray. Każda gwiazda musi dziś również umieć prowadzić samochód. Te artystki, które odtwarzają role w t. zw. „filmes des avantures“, muszą koncertowo pływać, skakać, a nieraz i uprawiać akrobatykę. Ale na szczęście nie do wszystkich ról jest to potrzebne. Ja np. grywam role, w których mi konna jazda i zwykły taniec salonowy zupełnie wystarczają.

— Jakie są pani obecne zamiary?

— Obecnie wybieram się na południe. Chcę wyjechać na całą zimę i poświęcić się muzyce.

— Czyżby zamierzała pani zdradzić ekran?

— Obecnie tak! Chcę dalej prowadzić moje studja i spróbować estrady.

— A film? Ameryka?...

— Kto wie! Nie przesądzam, lecz chwilowo muszę od ekranu, od reflektorów, od tej wieczystej gorączki odpocząć. Nie wiem nawet, czy będę jeszcze na premjerze mego filmu.

Chcę „upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu“, więc zadaję pytanie z dziedziny naszej ankiety w sprawie krótkich włosów.

— Do obecnej sylwetki krótkie włosy są uczesaniem najodpowiedniejszem. Dla gwiazdy filmowej jest to zresztą i najwygodniejsze. W razie specjalnej roli, wymagającej włosów, nakłada się warkocze, jak to np. czyni Gloria Swanson, a często i Pola Negri.

Żegnam panią Makowską i uciekam, unosząc wspomnienie miłej pogawędki i fotografję dla naszych Czytelniczek. *Ir. K.*

JAGNIESIA

OCZYWIŚCIE Jagniesia nigdy nie była w paryskim Luwrze, nie słyszała o istnieniu żadnego Tintoretta i nawet nie przeczuwa, jak bardzo podobna jest do przecudnej jego „Zuzanny“.

Nie wie także, że strzelista smukłość jej osiemnastoletniego ciała, wytworna linja maleńkiej głowy i wydłużony kształt zagadkowych oczu każą myśleć o śpiącej pod szkłem muzealnej gablotki sztywnej i tajemniczo pięknej królowej Karomama z XII dynastji, czy o „Portense d'Offrandes“, niosącej tak ostrożnie wazę ofiarną.

Kiedy ją zobaczyłam po raz pierwszy, idącą na niedzielną sumę w czarnej w czerwone kwiaty spódniczce, w aksamitnym, w róże szkarłatne haftowanym gorsecie i w białej, również haftowanej koszuli z najcieńszego płótna, zapytałam, poprawiając jedwabne frendzle jej odświętnej, szafranowej chustki:

— Czy ty wiesz, Jagniesiu, jak bardzo jesteś śliczna?

Spojrzała na mnie z pod olbrzymich, czarnych niemal rzęs złotem, bezgranicznie zdumionem spojrzeniem. I spłonęła rumieńcem... O, gdybyście mogły zobaczyć ten rumieniec, utkany z róż i zorzy, wy — dancingujące wielkomiejskie orchidee, wy — kompozycje za szminki, jedwabiu i perfum, które wasze zżarte gorączką życia i kremami piękności oblicza malujecie naiwnie na kolor cynobru i ochry, by nadać im rzekomy wdzięk młodości i natury...

Nie, Jagniesia napewno nie wie, jak bardzo jest śliczna, jak bardzo jest *á la* Tintoretto, czy *á la* królowa Karomama z XII dynastji, którą w szklanej trumnie Luwru podziwiają spasione snoby, rozpustne włóczęgi i brzęczące złotem próżniaki całego świata. I właśnie dlatego, że nie wie, jest jeszcze śliczniejsza.

Jak róża polna, wykwitła samotnie na miedzy pachnącej w słońcu macierzanką...

— — — — — — — — — — — — —

Kiedy w letnie upalne południe wraca po sumie w kolorowym bukiecie przyjaciółek, ściskając w prawej ręce książeczkę do nabożeństwa, a w lewej pracowicie wymereżkowaną w długie, zimowe wieczory chustkę do nosa, obowiązujący na Podhalu kodeks dobrego tonu pozwala jej zatrzymać się na krótką pogawędkę z koleżankami.

Jest to moment uroczysty i niesłychanie interesujący. Odbywa się rewja barwnych gorsetów, kosztownych popelinowych chustek, fartuszków misternie haftowanych. Krążą drobne ploteczki, tryska śmiech zdławiony dyskretnie przyciśniętą do ust chusteczką, szczególnie serdeczny, gdy po rynku, zamkniętym czworobokiem piętrowych kamienic, prezentują swe suknie do kolan i z paryska wygolone karki wielkie damy miejscowej „arystokracji“: panie doktorowe, mecenasowe, sędziny, naczelnikowe i koncypientowe.

Obnoszą z dumną nonszalancją przywiezione aż z Krakowa kapelusze, kolana obciągnięte pończochami z lichego sztucznego jedwabiu, worki z crêpe de Chine'y bez rękawów, pobłażliwie przez współczesnych zwane sukniami. Są niewymownie śmieszne, potykając się co chwila o nierówny bruk na wysokich obcasach lśniących, lakierowanych pantofli. Pachną Coty'm, Houbigant'em i źle przewietrzaną sypialnią. Są dumne, jak pawie, i zabawne, jak karykatury z amerykańskich „Magazinów“. Mówią o konfiturach i ślepej kiszce Rudolfa Valentino i z bezgranicznem lekceważeniem patrzą na barwny tłum rosłych, pięknych górali, którym do pięt nie dorosły.

Kolorowy bukiet dziewczyn drży powstrzymywanym śmiechem.

— Przypatrz się na te łyciatom, Maryś... Kolana nam pokazuje...

— Włozyła se gorcek na głowe i pejsy se na te upudrowanom gębe wypuściła, jak stary Mosiek.

— Raty, przeraty! Całe ręce goluśkie! Sukni se chyba zabacyła i w carnej kosuli do kościoła przyleciała?

...Śmiejcie się, kolorowe, jak kwiaty góralskie, dziewczyny, opalone na złoto słońcem, śniade i różowe od ostrego wiatru, co niesie najsłodsze zapachy tatrzańskich hal... Wasz śmiech jest nietylko policzkiem wymierzonym słusznie „łyciatym“ i „pejsatym“ elegantkom z miasta, obnoszącym po ulicach, kawiarniach i dancingach ohydnie wygolone karki, nagie w pajęczych pończochach łydki i ekstrawaganckie a niedostateczne „jedwabne koszule“, ale jest on także zdrowem kryterjum dobrego smaku, estetyki, piękna, no i tej dziś tak wzgardzonej, wyśmianej, zbytecznej i zapomnianej — moralności...

— — — — — — — — — — — — —

Jagniesia ma mięśnie ze stali, a ciało z marmuru, bo od wczesnej wiosny do późnej jesieni pracuje w polu. Nie potrzebuje więc ani masażu, ani tennisa, ani treningu lekkiej atletyki. Jedynego brata wzięto jej do wojska, więc kiedy stają śniegi i ciepłe wiatry wiosenne osuszą brunatne zorane skiby, Jagniesia widłami roztrząsa nawóz, sieje len, sadzi kartofle, karpiele, buraki i kapustę.

Latem kosi koniczynę, a w żniwa żongluje snopkami, rzucając je lekkim, prześlicznem gestem na wóz. Umie zaprząc konie choćby o północy i naprawić złamany dyszel. A gdy jesienią opustoszeją pola i liście na drzewach spłoną rudą miedzią i ognistą purpurą, jeździ do lasu po mchy zielone na podściółkę dla bydła i po smrekowe, pachnące gałęzie, które zimą złotym ogniem i upajającą wonią buchną w czysto wybielonym, kuchennym piecu.

I kiedy błękitny śnieg spadnie na Babią Górę i w słońcu oślepiająco wysrebrzy zębatą, chmurną ścianę Tatr, nie myślcie, że Jagniesia próżnuje. Przędzie pilnie len i na warsztacie z pod jej lotnych palców wywija się ruchoma, pracowita wstęga cieniutkiego, jak weba płótna. W długie zimowe wieczory na tem płótnie haftuje Jagniesia przedziwne kwiaty, wzory kunsztowne i wymyślne, urocze gwiazdy i listki delikatne, któremi zdobi miłośnie poszewki swej przyszłej wyprawy, koszule strojne i bogate pod gorset, zalotne fartuszki i serwety do paradnej izby. Albo rzuca na czarny aksamit odświętnego gorsetu ponsowe róże, zdające się płonąć i pachnąć, czy na „wizytkę“ — piękną bluzkę niedzielną — pęki wiośnianych fiołków i tchnących melancholją wirchów szarotek.

Widziałam ją koszącą zboże w sierpniowe upalne południa, zwożącą snopki w zmierzchy bladoliljowe, chłostaną zimnym, jesiennym wiatrem i lodowatą ulewą, gdy zgięta wpół od szóstej rano do zmroku kopała kartofle. Patrzyłam, jak w lesie dźwiga kłody powalonych burzą drzew, jak znosi z wozu na swych barkach wysmukłych ciężkie wory buraków i pytałam ze zdumieniem:

— Czy nigdy nie jesteś zmęczona, Jagniesiu?

Uśmiecha się błyskiem białych zębów, wesołem zmrużeniem złotych, długiemi rzęsami ocienionych oczu i potrząsa przecząco głową. Jej drobna, cudownie rzeźbiona pierś dziewczęca oddycha śpiesznie z wysiłku. Ale śliczne usta odpowiadają tak prosto i szczerze:

— Wiecór tom ta troche zmęcona, ale jak się wyśpiem, to i nie cujem.

W oczarowaniu patrzę na ten uroczy twór, dyszący taką pięknością i taką siłą, i przypomina mi się widziana przed kilkoma miesiącami w marmurowym hall'u paryskiego hotelu na Polach Elizejskich rodaczka moja — niestety, biegnąca na czwarty zrzędu dancing.

W płaszczu ze złotej lamy, w tchnieniu oranżowych gaz zamiast sukni, z ostrzyżonemi niemal do skóry, złotym pudrem osypanemi włosami, z obliczem mieniącem się tęczą szminek i płonącym Chesterfieldem w ustach podobnych do krwawiącej, świeżo zadanej rany, była już tak bardzo paryżanką, tak bardzo bezmyślną kukłą z lustrzanych wystaw ulicy De la Paix, że naprawdę nic w niej nie zostało z uroczego powabu polskiej kobiety.

— Więc jeszcze jeden dancing? I nie czuje się pani zmę-

czoną? — zdziwiłam się naiwnie, zadając sobie w duchu pytanie, czy też w dalekiej mojej ojczyźnie nadejdzie kiedyś taki dzień błogosławiony, w którym dla miljonów moich zaślepionych siostrzyc po płci przestanie być ideałem kobiety taka płaska, groteskowa, chorobliwa, zwyrodniała i wielobarwnie umalowana karykatura, jaką jest dziś modna elegantka paryska.

Wzruszyła ramionami sztucznie wychudzonemi i pokrytemi warstwą kremów i bielideł. Spojrzała na mnie trupio szklącemi się oczyma i mrużąc dwuznacznie rzęsy, pozlepiane zbyt śpiesznem użyciem modnego czernidła, uśmiechnęła się krwawą szminką ust:

— Zmęczona? Może będę zmęczona wieczorem, ale jak się ma to — pokazała mi płaskie, złote pudełeczko z kokainą — to można choćby do rana tańczyć z tak świetnym tangistą, jak Johnny White — wskazała na towarzyszącego jej eleganckiego mulata z San Francisco i frunęła z nim do limuzyny.

Ty nie wiesz, Jagniesiu, co to są Pola Elizejskie, złote lamy i luksusowe hall'e olbrzymich hoteli. Nie wiesz, co to jest tango i co kokaina... Nie zobaczysz nigdy ani olśniewającej panoramy San Francisco, ani zalanego blaskiem słońc elektrycznych największego w świecie targowiska ciał na Bulwarach i na Montmartre. I nigdy nie zatańczysz *tango argentino* z mulatem Johnnym White, którego kochają bogate, stare damy i ofiarowują mu pocałunki, wille i brylantowe spinki...

Zatańczysz sobie „góralskiego", zadrobisz z wdziękiem „zbójnickiego" na bliskiem już weselu Wojtkowej Hanki — może z tym czarnowłosym, śmigłym, jak smrek, Jaśkiem z Kamieńca, albo kędzierzawym, pięknym, jak heros, Antkiem Kasjanem...

Nawet nie pytaj, Jagniesiu, co znaczą te tajemnicze, nieznajome nazwy — światy dalekie, nieprzeczuwane, zagadkowe i przerażające. Bo na twoje oczy przeczyste, jak górskie kaskady, twoje oczy dziewczęce, dla których największem dziwowiskiem był dotychczas jarmark w Nowym Targu, — padłby cień. Zimny cień od marmurowych kolumn międzynarodowych domów schadzek — hoteli, trupi cień, który rzuca złowieszczo małe złote pudełeczko z kokainą, czarny cień nudy i przesytu wlokący się za miljonami par tanecznych, uciekających przed swą pustką w piekielny zgiełk jazz-bandu i orgję murzyńskich tańców złoconych spelunek wszystkich stolic świata i gorzki cień tej prawdy okropnej, że tamten świat jest jednym olbrzymim jarmarkiem, na którym wszystko sprzedać i wszystko kupić można...

Podczas gdy ty, pachnąca, wymanikurowana, jedwabna cała i lśniąca panna, czy pani Orchideo wielkomiejska szalejesz za tęczowem skrzeniem brylantów, czy za delikatną, różową poświatą pereł choćby fałszywych, gdy płowe błyski drapieżnej chciwości budzi w twych oczach grzeszny, magiczny blask złota i w braku szlachetnych kamieni i kruszców obwieszasz się, jak kobieta barbarzyńskich szczepów z Sierra Leona, dźwięczącemi klejnotami ze szkła i psich kości, — Jagniesia obojętnie patrzy na złoto i nie czaruje jej gra świateł drogich kamieni.

Stara florencka kasetka, zawierająca biżuterję, nie budzi w niej ani cienia niepokoju. Nie oddałaby na pewno za najpiękniejszą antyczną gemmę czy najpyszniejszy, w platynę oprawny brylant swej chluby, swej dumy, swego jedynego klejnotu, w którym co niedzielę paraduje na sumie, — poczwórnego sznura olbrzymich, ciężkich korali z dużym, złotym dukatem.

Pieczołowicie ułożone w jedwabnym woreczku na samem dnie kunsztownie rzeźbionej i kwieciście malowanej skrzyni, przechodzą z matki na córkę od kilku już pokoleń i mówi się o nich z naiwną pychą, że warte są „ćtery stówki dularów". I gdy związane zieloną wstążką na smukłym karku Jagniesi płomienią się na śnieżnej bieli jej haftowanej koszuli i mienią się odblaskiem zorzy na jej wycałowanych przez wiatr, świeżych, jak owoc, policzkach, piękniejsze są stokroć od pereł i diamentów, podobne raczej do naszyjnika z róż, wieńca z purpurowych kwiatów z poematu Rabindranatha Tagore.

— — — — — — — — — — — — —

...Za oknami wstrząsanej wichrem góralskiej willi posępnie szumi zimną ulewą czarny wieczór jesienny.

W jasnem świetle lampy, w zacisznem cieple pachnących żywicą sosnowych ścian, Jagniesia pilnie rzuca na białe płótno pęki kwiatów prostych i zarazem tajemniczych, jak ona sama.

Zupełnie o tem nie wie, że malował ją kiedyś Tintoretto i że przed wieloma, wieloma stuleciami żyła w wytwornem, strzelistem ciele egipskiej ofiarnicy o złoconych powiekach wydłużonych ku skroniom oczu.

Nic o sobie nie wie i właśnie dlatego jest tak czarująco prześliczna, że malowane ochrą i cynobrem najmodniejsze Orchidee świata wydałyby się przy niej bukietem odrażająco pospolitych, jarmarcznych kwiatów z jaskrawej, czerwonej bibułki.

Czarny Dunajec, w październiku 1926 r.

Helena Filochowska

STRACONY REKORD

9) POWIEŚĆ

ZOŚKA wolnym ruchem, jakimś leniwym i ociężałym zdejmuje z głowy mały, jedwabny kapelusz. Dwa ciemno-kasztanowate, prawie czarne loki, spadają na lekko zarumienione policzki. Wielki, kwadratowy dekolt odsłania smagłą, kremową szyję i ramiona. Pod bronzowym, obciskającym jedwabiem rysują się kształty ładnie skrojonych rąk.

Przyciągnął ją do siebie.

— Bałem się, że nie przyjdziesz — wskazówki posuwały się tak powoli, jak jakieś gąsienice, pomyśl, tak od drugiej do szóstej patrzeć na zegar — czy nie szkoda życia?

Zośka znów przypomniała sobie zdanie Michała: „życie trwa tak krótko, jakby jedną dobę tylko".

Lekko wysuwa się z ramion Jaracza, podchodzi znów do okna.

Popatrzył na nią uważnie.

— Zośka, skąd ten lęk u ciebie, — wiem, że kochasz, czuję to, — już wtedy w zamieci wiedziałem, żeś moja, — więc czemu?

Zarzuciła mu obie ręce na szyję.

— Tyle miesięcy, taka męka, pomyśl! — głos zaczął nabierać znajomych Zośce świstów. Próbowała łagodnym ruchem uwolnić się, ale uczuła, że trzyma ją mocno w ramionach.

— Nie wysuwaj się, — tak pusto było u mnie — a teraz wreszcie przyszłaś. Zostaniesz.

Ostatkiem sił wyrwała się z jego sprężystych rąk.

— Nie zostanę — nie mogę — nie teraz.

— A ja się boję, że znów odjedziesz.

— Franek! Tak! Ja muszę wracać! Wracać!

— Gdzie musisz wracać — gdzie?

— Do domu — do siebie — do Michała.

Ręce mu opadły. Patrzał na nią zupełnie nieprzytomny — z szeroko rozwartemi źrenicami, — nie rozumiał ani słowa.

Dopiero, gdy zaczęła mówić szybko, bezładnie, gdy zdania ostrym świstem przerzynały ciszę — i padały jak raniące odpryski szrapnela — dopiero wtedy zrozumiał.

Uczuł tysiąc śmiertelnych ran od wgryzających się pocisków; zdawało się mu, że ktoś go wali szpicrutą, grubym harapem na odlew, naoślep, między oczy, po głowie, — że czuje tęgie razy na policzkach, że ślepnie od tej śmiertelnej chłosty, od tego gradu bolesnych odłamków, że słabnie od tych ociekających żywą krwią ran. — Nie wiedział, ile upłynęło czasu.

W jakiejś chwili, zobaczył ją przed sobą, już w kapeluszu. W gęstym mroku nie mógł rozeznać twarzy, — usłyszał tylko szept, który go wprost przeraził po tem długiem milczeniu:


1026
1027
1028
1029
1030


1031
1032
1033
1034
1035.


1066
1067
1064
1065
1068


1071
1072
1069
1070
1073
1074
1075

— Franek, chcesz? Rzucę wszystko. Zostanę.

— Nie. Zośka. Odejdź!

Usłyszał skrzyp zamykanych drzwi.

Godziny płynęły.

Gdy ocknął się, była już chyba późna noc.

Wybiegł na ścieżkę za domem.

— Zośka! Wróć!

Zdawało się mu, że wypluwa dwie olbrzymie, słone grudy krwi.

DZISIAJ JEST TAKŻE DZIEŃ

„Imorgen er der atter en Dag". Zdanie szczęśliwca z Gurre Sö*), tak często wypowiadane do ukochanej Tovelille, przyszło nagle na myśl Ellen, właśnie tu, w Marienlyst, na starym cmentarzu, obok grobu Hamleta.

Ciemno-złote, pokruszone blaszki liści, zasypały cały pagórek, a gdzie niegdzie na tem tle spoczywają zerwane wiatrem, różowe serca. Cały cmentarz wygląda jak niewykończony przejrzysty szkic sangwiną. Wczesna w tych stronach jesień, wypolerowała niebo na gładką, bez jednej zmarszczki niebieską taflą.

Ellen schodzi wolnym krokiem z pagórka, po szeleszczących okruchach liści i wchłania wilgotną słodycz wczesnej, jesiennej godziny.

Za ogrodzeniem czekają konie. W drodze do Helsingör — Ellen nastawia twarz pod spokojny, prawie ciepły prąd wiatru, który rozkosznie głaska jej blady, cudowny owal.

W Helsingör ma jeszcze godzinę czasu do odjazdu pociągu, więc wybiera ścieżkę do zamku Kronborg.

Z wysokich, obronnych wałów rozpina się daleki widok na Sund i na majaczący w perłowej mgle jesiennej szwedzki brzeg. Zielona, przejrzysta, chryzolitowa woda, wydyma się, tworząc na szczytach garbów białe, grube fałdy wełnistej piany, — zaś głębokie wklęśnięcia przepruwają długie, wąskie szwy z najczystszej lapis-lazuli. Fale biją o brzeg, chryzolit, perła, lapis-lazuli.

Za wodą wykwitają mętne, ledwo widzialne spirale dymów, zamglone kontury kominów i wież i niewyraźne, odległością perspektywy zmniejszone zarysy budynków i fabryk.

Cały przeciwny brzeg jest osłonięty powłóczystą gazą porannej mgły.

Ellen usiadła na ławce. Właściwie mogłaby wejść na wyżej wzniesiony taras, albo na południowo-wschodnią wieżę, skąd roztacza się daleko rozleglejszy widok na płaski obszar Sundu — ale nie chce. Tu, na tych wałach, obrośniętych ostatnią, zmęczoną zielenią — czuje się bliżej wody — bliżej wysokopiennych, wiatrem burzonych fal.

Ellen znała okolicę dobrze, lubiła ją nawet. Marienlyst z jego starym, pustym cmentarzem, — ogrody i plażę w Lappen, — rybackie wioski Hellebak i Aalsgaard.

Przyjeżdżając dawniej z dalekiego południa, albo zachodu, — uśmiechem zadowolenia witała cieniste dęby na wzgórku Odinshöj, skąd godzinami patrzyła na niebieskie pole Kattegattu, na pofalowaną roztocz Öre Sundu — i na dalekie — już na szwedzkim brzegu wzgórza Kullen.

W Hornbäk znała starego rybaka, o niebieskich, jak szklane paciorki, oczach, o zakrzywionych, suchych palcach i kabłąkowatych nogach, który jej opowiadał wiecznie te same historje. Ellen pamięta, że stale i uporczywie wracał do jednego podania, według którego Holger Danske, duński Barbarossa, miał zamieszkiwać podziemne sklepienia zamku Kronborg.

Wychodzili często na nakkehoved **) i stojąc w gęstym, posłonecznym pyle, liczyli słupy dymów, strzelające na wypukłym horyzoncie — i małe, przybrzeżne parowce.

Jak to już dawno! Ellen uśmiecha się. Gdy wróci, musi odszukać starego rybaka o niebieskich, jak szklane paciorki, oczach. Pójdą znów razem na nakkehoved.

Czasami — ale to było tak rzadko — przypomina sobie Ellen — przyjeżdżał z Norwegji jej dziadek, stary zrzęda i oryginał. Wówczas urządzali, w edwójkę tylko, przejażdżki jakimś małym stateczkiem do Hilleröd albo do Fredensborg.

*) Waldemar III, król duński.

**) Latarnia morska.

Stary specjalnie lubił Fredensborg*).

W tym najpiękniejszym parku całej Danji spędzali w milczeniu długie chwile, — a gdy czuł się dobrze, wielkiemi szerokiemi alejami schodzili w dół, aż do jeziora Eszom czasami.

Dwie części parku zawsze stary wymijał: „Normandsdal" i „marmurowy ogród", gdyż były pełne kamiennych i marmurowych biustów i pomników, a stary tego nie znosił.

Czasami, na wielkiej aleji, gdy był w dobrym humorze, mówił o Polsce, o dalekiej, wojennej burzy, zajadle krytykował, sarkał, gderał, ironizował, — wreszcie wyczerpany siadał na ławce i pytał: „Tak, Ellen?" Wtedy bardzo łagodnie i delikatnie, przeprowadzała swoją opozycję, która kończyła się odpowiedzią starego: „Głupia jesteś!" Ellen te dwa słowa tłumaczyła zawsze na swój język: „Kocham ciebie" — i czuła instynktownie, że oryginał lubi jej wywody, że nawet w pewnych chwilach uważnie słucha. Wiedziała zarazem, że gdyby mu o tem choć jednem nadmieniła słowem, z pewnością rzuciłby się i oburzył.

O tem wszystkiem Ellen myśli tu, na tych wałach, oblanych przejrzystą, chryzolitową wodą Sundu.

W miasteczku nie była dawno. Ostatni raz, wracając z Polski. Kiedy to było? W styczniu? Pamięta, z jaką radością powitała bure oczy i szkaradny, spłaszczony nos woźnicy, oczekującego przed dworcem z olbrzymią, futrzaną szubą.

Potem chłodna, wilgotna wiosna, liljowe w parku anemony — tysiące nowych, nieprzeczuwanych wrażeń. Oczekiwanie. Wreszcie lato. Syn. Syn. Niebieski obłok, gaza uśmiechu zasłania jej oczy.

Chciałaby krzyczeć i śpiewać głośno — podzielić się z każdym, kogo spotka, swojem szczęściem, jak kromką powszedniego chleba, chciałaby ludziom mówić dużo dobrych i niedorzecznych słów, każdemu podać rękę: „Imorgen er der atter en Dag" — i rzucić ciepły, różowy uśmiech radości.

W wagonie było prawie pusto.

W pewnych chwilach pociąg jechał tak blisko brzegu, że przez złote wyciągnięte ramiona drzew przeświecały łagodne, półkoliste pagórki fal, pokryte jak gdyby zielonkową patyną.

Wille białe jak skrzydła mew, wyrastały kępami w górze, nad żółto ziarnistym piaskiem plaż, oświetlonych gęstą polewą słońca. Winogradowe opaski i wieńce oplatały podbrzusza balkonów, szerokie rozcięcia okien i naroża niewielkich werand.

Gdzie niegdzie na sznurach suszyła się do słońca bielizna; lekki wiatr wstrząsał białemi płachtami, że wydymały się jak jesienne, wełniste obłoki.

Ellen siedziała twarzą do słońca. Delikatne rysy, wycyzelowane jak na kosztownej, bizantyńskiej minjaturze, pławiły się w złotych, skośnych promieniach.

Szybko — jedna po drugiej — mijały małe stacyjki: Vedbeek, Klampenborg, Hellerup.

Wreszcie usłyszała serję różnorodnych głosów: „Kjöbenhavn".

Szła ulicami do słońca, długo, bez celu, z Östbanegade na przeciwny koniec miasta.

Dziwił ją ruch na ulicach, szybki pęd przejeżdżających aut, rowerów i omnibusów.

Tyle miesięcy spędziła w swojej odległej — zamkniętej starym, niekultywowanym parkiem — pustelni.

Przeszła obok Christiansborgu, potem wąską Ny Vester gade na Vester Boulevard. Budynek nowej Glyptotheki uderzył ją, jak zupełnie coś nieznajomego. Weszła do cudownych, prawie pustych o tej południowej porze sal. Tak dawno tu nie była. Sama nie pamięta kiedy.

Przez wysokie wydęcie kopuły spływało do wnętrza łagodne, odblaskiem błękitu przesycone światło.

Stanęła przed „Kysset"**) Rodina.

Naga para zapomina na chwilę o utracie raju, o niezaoranych skibach twardej, nieurodzajnej, ostremi kamieniami przy-

*) „Zamek pokoju", zbudowany w r. 1720 na pamiątkę zawarcia pokoju po 11-letniej wojnie ze Szwedami.

**) Pocałunek.

PAŁAC KOBIETY



WIARA cuda czyni. Dobra wola też.

Może w dzisiejszych czasach bez grosza zbudować dom.

Nawet pałac — pałac kobiety.

Jak to uczyniła Armja Zbawienia.

Dziwna armja, która buduje, a nie burzy; armja, która od nikogo nic przemocą nie zabiera, a wszystko dobrowolnie daćby chciała.

Ta armja walczy z dziwnym wrogiem: z nędzą ludzką, ze złem, z upadkiem człowieka; walczy dziwną bronią: sprawiedliwością i dobrocią.

Aby biedny nie stał się nędznikiem, aby godność ludzka była poszanowana, aby panowała wolność sumień, aby przyszło Królestwo Boże na ziemi.

Ale zbawienie swe głosi poza obrębem religji. Ma swoją wiarę — przez miłość Boga, miłość ludzkości — lecz nikomu jej nie narzuca. Proponuje — nie zmusza. Nie zbija żadnego przekonania, wszystkie przekonania religijne i polityczne mogą być dobre i chce je w tem, co jest w nich wspólnego, zbratać.

Wszystkie ludy i wszystkie wiary broni i ochrania.

Wszystko, co jest w człowieku dodatnie, w dziedzinie ducha, czy też ciała, strzeże i chce rozwijać.

„Bóg jest miłością" — to na jednym jej sztandarze napis.

„Zbawić każdego człowieka i zbawić go w zupełności" — to na drugim jej sztandarze napis.

Krzyż i miecz — to jej godła, krew i ogień — to jej symbole. Bliźniego miłować należy, jak siebie samego, krew żywą dać mu trzeba i żar serca.

Armję Zbawienia stworzył w roku 1865 Wiliam Booth, Anglik, który głosił „krucjatę dnia dzisiejszego przeciw złu". Armja Zbawienia nietylko przez lat wiele przetrwała pomimo ironji ludzi głupich i pesymizmu ludzi zbyt mądrych, ale rozwija się bardzo pomyślnie, coraz to rozszerzając swą działalność. Z owych lat zachowała swój ustrój i swój zewnętrzny wygląd, może nieco nieodpowiedni, więc śmieszny w dzisiejszych czasach. Członkinie noszą przy sukni w rodzaju munduru granatowe słomkowe budki, członkowie czapki wojskowe z daszkami; wszyscy mają na kołnierzach odznaki rangi. Armja ta ma stopnie, jak zwykła armja. Szeregowcy po rocznych ćwiczeniach w koszarach zostają porucznikami. Na czele stoi generał, stale przebywający w Londynie, gdzie się też mieści sztab generalny,

Armja Zbawienia utrzymuje hotele, buduje domy mieszkalne, ma przytułki, biura pośrednictwa pracy, kolonje wakacyjne. Ta, jak ją ktoś słusznie nazwał, jedyna dziś szkoła filantropji, na miejsce upokarzającej jałmużny stawia pomoc daną jednostce; jest ruchem społecznym, popierającym indywidualny wysiłek. Idzie ona z duchem czasu i stara się spełnić jego potrzeby. W obecnej chwili za problem pierwszorzędnej wagi uznała rozwiązanie kwestji mieszkaniowej. Europa przechodziła wiele głodów, teraz jest głód mieszkania. Armja Zbawienia zbudowała w Paryżu *Palais de peuple*, dom ludowy dla 500 mężczyzn, a przed dwoma miesiącami otworzyła w robotniczej dzielnicy *Palais de la femme*, pałac kobiety. Jest to olbrzymi gmach, pięciopiętrowy, na przestrzeni 3.753 m^2. Na parterze mieszczą się restauracja na 600 osób, sala teatralna, bibljoteka, sala dla pracy, gabinet lekarki, łazienki, pralnia i suszarnia. Na piętrach są pokoiki, 750 pokoików (!), w cenie od 100 fr miesięcznie do 140. Są one oczywista małe, ale powierzchnia ich odpowiada wymaganiom higjeny, przytem znajdują się tu wszystkie najpotrzebniejsze sprzęty.

W jaki sposób Armja Zbawienia gmach ten nabyła? Pożyczyła u swej centrali na bardzo dogodnych warunkach spłaty 3,500.000 franków, utworzyła komitet, z prezydentem Rzeczypospolitej Francuskiej na czele, z ambasadorów, dygnitarzy, polityków i działaczy społecznych i potrafiła tak ich tą sprawą zainteresować, iż zebrała sumę dwóch miljonów. Resztę ma nadzieję pokryć drogą drobnych składek, przyczem ta instytucja zdobyła się na pewną chytrość, opartą zresztą na znajomości natury ludzkiej. Każdy pokój może być przez kogo innego ufundowany, na drzwiach zaś widnieć będzie nazwisko donatora lub jakiejś wybranej, ukochanej przez niego osoby, żywej lub umarłej. Niektórym ludziom się zdaje, że ciągłe przypominanie się innym wyrywa ich z niepamięci i jest pewną formą nieśmiertelności. Każdy ma jakąś słabość i dobrze jest umieć ją wyzyskać.

Kupiono dom, odrestaurowano go, zaprowadzono centralne ogrzewanie, elektryczność i wszelkie najnowsze urządzenia, stworzono dach nad głową dla wielkiej liczby kobiet. Znajdują tu mieszkanie wszystkie — bez względu na narodowość, religję, klasę społeczną. Nikt ich nie pyta, skąd przyszły, a gdy odchodzą, dokąd idą. Nikt nic od nich nie wymaga, prócz tego, co musi być wymagane ze względu na ład i porządek ogólny. Nad tem wszystkiem czuwa pani major Muller, cały szereg oficerów i urzędniczek.

Przy tem wielkiem ognisku ludzkości, jasnem, pewnem, zawsze jednakiem i nigdy niezawodnem, podsycanem dyskretną, niewidoczną dłonią, musi być jednak wielu kobietom bardzo chłodno. Wolałyby one grzać się przy małym, własnym ogniu rodzinnym, roznieconym kochającą ręką, choć nieraz krótkotrwałym ale trzaskającym wesoło i rozrzucającym iskry, albo nawet przy drżącym, chwiejnym, wątłym i bladym, który może nagle, niespodzianie z pod popiołów wybuchnąć zwodniczym płomieniem.

Malibran (Paryż)

sypanej i chwastem porośniętej ziemi, — o szarpiącej męce codziennego zdobywania wiekuistych gwiazd, — o skrzydłach tęsknoty, skrępowanych brudnemi, słomianemi powrósłami rzeczywistości. Za chwilę rozejdą się, — tak jak się zeszli przed chwilą — obcy sobie — a jednak stygmatami tych samych cierpień, umiłowań i pożądań — naznaczeni.

Grupa Rodina przypomniała Ellen upalne południe nad błękitnem wydrążeniem Popradzkiego stawu, i rozpalony szept Jaracza: „Ellen, takaś cudna".

Podeszła do drugiej grupy: „Det tabte Paradis" *) Gautherina. Przed chwilą błyszczący miecz przeciął gazę złudzenia, upadła w proch i rumowisko ziemi, rozdarła się na wysokich zasiekach najeżonych kolców. Mądrość i jasnowidztwo ustąpiły miejsca egoizmowi i bolesnemu rozczarowaniu, — szczęśliwy uśmiech spokoju gorzkiemu zadziwieniu. Nie połączył ich grzech, raczej rozdzielił. Pokrwawią sobie ręce o przydrożny kamień, nogi obrzękną od wgryzających się kolców, — bunt wzniesie nieraz ich zaciśnięte pięści do nieba, będą wznosić się, walczyć, plwać i przeklinać, po tysiąc razy opadać i szaleć z rozpaczy, śmiać się nawet w godzinach męki albo upodlenia, — ale złudzenia raju nie zdobędą już nigdy. Wiedzą o tem — są smutni.

Nagle o uszy Ellen odbił się podźwięk polskiego słowa.

C. d. n. *Kazimiera Alberti*

*) Raj utracony.



Znam ją oddawna. Przychodzi do mnie, gdy wszyscy już odejdą. — Rozmawia ze mną, gdy wszyscy rozmawiać przestaną.

Jest mądra, bo kocha naturę. — Jest zajmująca, bo dużo podróżowała. — Zna cały świat, wszystkie oceany, przylądki, wyspy, kraje.

Czasami myślę, że jej małe, różowe serce, które tak pośpiesznie bije, gdy tylko na niem rękę swoją złożę, jest geograficzną mapą, na której błękitne morza, bronzowe góry i zielone niziny tworzą akwarelowy, poprzerzynany południkami — pejzaż.

Zna rozmaite języki, ale najchętniej rozmawia ze mną po polsku.

Jest to mała, cudowna dziwaczka.

Nie znosi hałaśliwego towarzystwa obcych ludzi.

Z jej ust wyssałem tajemnice radości i zdrowy, kwitnącemi sokami ociekający — sens życia.

Nie narzucała się nigdy. — Ale gdy tylko chciałem z nią porozmawiać, zjawiała się przy mnie z uśmiechem tak pięknym jak kremowa gałązka akacji. — Pogodna i różowa, jak morska fala o pierwszej godzinie brzasku.

Przychodziła zawsze, gdy ją zawołałem.

Sprzeniewierzałem się jej tak często, ale nie pamiętała tego nigdy.

Wiedziałem, że gdyby mnie wszyscy w życiu opuścili — ona będzie zawsze przy moim boku.



Rozmawialiśmy godzinami. Czasami długo w noc, — czasami, aż do tej chwili, gdy świt kładł na oknach swoje pierwsze, nieudolne szkice — a na świecie rozwiewała się nocna, perłowa mgła. — „Więc to już?“ — uśmiechała się poprzez gazę zdumienia. „Tak — już dzień! Szkoda — droga przyjaciółko!“ Gdy odeszła, długo jeszcze o niej myślałem.

Była taka odważna! — Dotrzymywała mi towarzystwa w okopach — przy zagasających ogniskach, podczas przepraw przez pontonowe mosty — w zrujnowanych domach na kwaterze — w głuchych, czarnych lasach, — pod armat kanonadą piekielną, — wlokła się za mną tysiące wiorst, od Berezyny aż po Wisłę — od Karpat aż po pińskie błota. W okopach, przesiąkniętych wyziewami błota, siadała na moich kolanach, odrywała moją myśl od rumowisk, śmierci i czarnych zgliszcz. Opowiadała o życiu, o miłości, o niegasnącej ludzkiej pracy zdobywania coraz to nowych horyzontów, o wynalazkach, o historji. Umiała mówić o wszystkiem.

W szpitalu — przez długie tygodnie — była moją najlepszą, najcierpliwszą samarytanką. Wśród bolu uczyła mnie pogody życia — a gdy byłem zbyt osłabiony, przestawała mówić, nie chcąc mnie męczyć.



W paszporcie mojej przyjaciółki, w rubryce „znaków szczególnych“, napisał ktoś: „tatuowana na grzbiecie“. Tak. W istocie. Jest ona tatuowana, zupełnie jak jakiś stary wyga-marynarz.

Moja przyjaciółka dba nadzwyczajnie o swoje *extérieur*. Tak często zmienia suknie. Oprócz codziennych, szarych, ma świąteczne toalety. — Jakże ją lubię w perłowo-niebieskiej szacie, z szeroko złoconym brzegiem, jakby z prawdziwej, świecącej lamy! — Nosi też czasami ciemno-bronzowe, skórzane okrycie. Wygląda wtedy tak poważnie. I wiem, że gdy tak przyjdzie ubrana — to zacznie opowiadać mi o wojnach, — o ludziach: pół-bogach, pół-awanturnikach, — o szalonych zdobyczach i zmaganiach; całą epopeję zwycięskich walk i pochodów odnajduję w jej sercu.

Przed podróżą nieśmiało i milcząco wprasza się. I choć nie miałem jej wziąć ze sobą, w ostatniej chwili jedzie zawsze. Sam nie wiem, jak to się dzieje. — Ale na jakiejś stacji, na którymś kilometrze siada mi na kolanach i mówi: „Widzisz, krajobraz jest płaski, pasażerowie nudni, słupy telegraficzne zanadto zmęczyły już twoje oczy — porozmawiajmy! Ja jestem najciekawszą ze wszystkich odbytych podróży.“

Patrzę w nią godzinami — a gdy kończymy rozmowę, mój wzrok jeszcze raz pada na jej tatuowany grzbiet.

Moja przyjaciółka ma najpiękniejsze imię, jakie kiedykolwiek znałem: „Książka“.

Gnom

Wielu z tych, którzy posiadali wszystko, czem świat obdarzyć może, wyznawali, że najczystsze rozkosze zawdzięczali książkom.

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

MAGDALENA SAMOZWANIEC: „Kartki z pamiętnika młodej mężatki“. Wende. Warszawa. 59 str.

Polka, zamężna za Francuzem i stale mieszkająca w Paryżu, przyjechała na tydzień, odwiedzić Warszawę. Trafiła niefortunnie, bo właśnie na tegoroczne wypadki majowe. Spisuje swe wrażenia w pamiętniku. Zgoła się nie orjentując w naszych stosunkach, przekonana jest, że to Niemcy lub bolszewicy wkraczają do Warszawy. Na tem tle — wyznajmy, niezbyt się nadającem do humorystycznego ujęcia — osnuta jest ta książeczka Magdaleny Samozwaniec. Lwi pazur autorki „Na ustach grzechu“ poznajemy po kilku dobrych pointe'ach: „Wyglądałam prześlicznie, ale też muszę przyznać, że jestem zapracowana wyglądaniem“. „Co chwila ktoś wystawiał rękę, by sprawdzić, czy jeszcze kule padają“. „Poczciwi kolejarze krakowscy odmówili dowozu nieprzyjaciół do Warszawy“. . Pozatem zarówno „Kartki z pamiętnika“ jak i w tymże tomiku zawarte „Trudności z doktorem“ niebardzo odbiegają od poziomu współczesnej humorystyki naszej. *-w-c-i*

ADOLF DYGASIŃSKI: „Właściciele“. Powieść. Wydania zbiorowego t. VI. Bibljoteka Groszowa. W-wa. 201 str.

Nader szczęśliwa myśl: wydać na nowo „całego“ Dygasińskiego. Utyskujemy, że zagranica mało nas zna, bośmy podobno ani dość „zachodni“ ani dość egzotyczni. Sądzę, że wina jest nasza własna; usiłujemy bowiem tłumaczyć na obce języki dzieła nasze, najbardziej zbliżone do wzorów europejskich, gdy tymczasem należałoby postępować wręcz odwrotnie. Im co jest swoiściej polskie, tem ciekawsze dla nie-Polaków. Z naszych dzisiejszych i wczorajszych pisarzy, za granicą nieznanych, trzej wydają mi się wielce godnymi tłumaczenia: Sieroszewski, Junosza, Dygasiński — talenty i temperamenty rdzennie i rasowo polskie. Nawskroś męska, a rzewna, a poetyczna twórczość autora „Godów życia“ pono budzi ostatniemi czasy wielkie zainteresowanie we Włoszech. Obyż je obudziła i... u nas! gdyż niestety, potrzykroć niestety, pod powodzią kosmopolitycznej makulatury toną dziś w zapomnieniu najtężsi wyraziciele narodowego naszego charakteru. — „Właścicieli“ połkniesz, czytelniczko, jednym haustem, poczem niezwłocznie sprowadzisz sobie pięć poprzednich tomów Dzieł Zbiorowych. Mąż nie będzie się krzywił, gdyż cała transakcja wyniesie złotych zdewaluowanych cztery, groszy siedmdziesiąt i pięć. Gdyby mimo to... to mu zamiast najprzedniejszego macedońskiego kup przedni turecki, a koszta się pokryją. *-w-c-i*

JERZY RYCHLIŃSKI: „Błękitny szpieg“. Powieść. Bibljoteka Dzieł Wyborowych. W-wa. 130 str.

Rodzima powieść sensacyjna: to już coś. Detektyw jest tu naturalnie Anglikiem; ha, może to i lepiej, bo te nasze polskie Holmesy są mocno niestylowe. Jest tu trochę mistyki, trochę okultyzmu, parę morderstw, tonący okręt (bolszewicki! Signum temporis), słowem wszystkiego w miarę, z wyjątkiem dopełniaczy. Tych jest stanowczo za mało — wypiera je nieokiełznany biernik: „Nigdzie nie spotkał *je*“, „Nie tracił z oka *wiotką postać*“, „Ładunek zboża, *który* nie przyjęto“ i t. d. (str. 6, 7, 59). Na str. 20 czytamy: „Smuga jasnego, jakby ultra-fioletowego światła“... No dobrze, ale promienie ultra-fioletowe są niewidzialne, więc skądże jasne? O Rosji przypomina nietylko ów tonący okręt, lecz rónież *a* zamiast *ale* w takich zdaniach: „Nie z głazu, *a* z cegły“, „Siedział nie obok, *a* naprzeciwko“ (str. 37, 61). Naogół jednak styl jest gładki, miejscami nawet ładny i pomysłowy. Rzecz czyta się lekko i z zajęciem; niebawem zapomina się doszczętnie. *-w-c-i*

ILJA ERENBURG: „Trust D. E.“ Dzieje zagłady Europy. Przełożył FREDANI. — E. Wende i S-ka. W-wa. 240 str.

Gdzieś u Meyrinka występuje murzyn, któremu żaden nie smakuje trunek, o ile w skład jego nie wchodzi denaturat i kwas siarczany. „Trust D. E.“ smakowałby mu napewno, głównemi bowiem, niemal jedynemi jego składnikami są: denaturat życia, siarczany kwas wszystko-żrącej ironji. Jezus odpuścił grzesznicy, gdyż wiele miłowała; czy odpuściłby cnotliwemu, który wiele nienawidził? Nienawiść Zła bywa niekiedy w swych skutkach równoznaczna z miłością Dobra; lecz czy bywa równowartościowa?... Jan Boot, bohater powieści, bezgranicznie się kocha w Europie, „więc“ zakłada w Ameryce Trust D. E. (Destruction of Europe = zniszczenia Europy). Umińska dowiodła, że takie „więc“ może nie być czczym paradoksem. Co do szlachetności p. Boota można mieć bardzo różne zdania; natomiast szlachetność serca p. Erenburga nie ulega chyba wątpliwości. Z każdego wiersza tej groteskowej, niby-humorystycznej książki wyziera głęboki, rozpaczny ból. Autor z nielitościwą wyrazistością widzi całą zgniliznę Europy — i cierpi. Ale cierpi tak, jak cierpią ludzie słabi: samą tylko rozpaczą, samem przygnębieniem, samem szyderstwem. Wyraźnie wszystko widzieli i gorzko cierpieli św. Paweł, hetman Żółkiewski, Hoene-Wroński — jakaż jednak różnica pomiędzy ich twórczym, zbawczym, zaradczym pesymizmem a czysto negatywnym pesymizmem Erenburga! Oni walczą ze Złem, by je zastąpić Dobrem, albo przynajmniej Złem mniejszem. On walczy ze Złem po prostu z chwalebnej ku niemu odrazy, lecz umie je zastąpić jedynie pustką. Że zaś pustka jest niemożliwa, a dobro nie wschodzi samo „z Nieba przez żaden cud, lecz stworzyć je potrzeba“ — więc taka anarchiczna walka ze złem miewa zazwyczaj ten tylko skutek, że na miejsce zła przychodzi — większe zło. Dlatego na dusze słabe twórczość Erenburga może wywrzeć wpływ destrukcyjny. Nie zgadzam się atoli z tymi, co twierdzą, że to właśnie jest intencją autora. Nie widzę w tej książce najmniejszej złej woli. Więcej powiem: dla silnych duchem i nerwami lektura jej będzie wręcz pożyteczna, pobudzając do buntu przeciw szkaradzie, w jakiej ponad wszelką wątpliwość grzęźniemy. Gdyby p. Boot zniszczył Europę przy pomocy Chińczyków czy Marsjan, mielibyśmy fantastyczną powieść à la Wells. Lecz niestety! p. Boot pomógł jej tylko zniszczyć się samej, zapomocą niemieckich gazów, angielskiej nadprodukcji, rosyjskiej zarazy i nędzy, polskich dział, francuskiej rozpusty .. i dlatego „Trust D. E.“ jest wcale realnem memento. — Dodajmy, że jest on nadto dziełem znacznego talentu. Faktura migawkowo-kalejdoskopo-kinematograficzna czyni tę rzecz niemal sensacyjnie zajmującą. Polski przekład bardzo dobry. *-w-c-i*

KAROL BAUDELAIRE: „Wino i haszysz“ (Sztuczne raje). Analekta z pism poety. Wybór i przekład BOHDANA WYDŻGI. 133 str. Wende i S-ka. W-wa.

Narkotyki istnieją, odkąd istnieje ludzkość, a przecież o działaniu ich na duszę wiemy bardzo jeszcze mało. Tymczasem jest to dziedzina nietylko ogromnie ciekawa, lecz i ogromnie doniosła dla psychologji. Nieraz dopiero stan patologiczny, ściśle zbadany, poucza nas o prawdziwej istocie stanu normalnego. Ciekawe są na ten temat nawet suche studja medyczne; o ileż ciekawsze — introspekcje natchnionego twórcy! A takim właśnie natchnionym twórcą jest Baudelaire, organizacja psychiczna niezmiernie złożona, poeta-wizjoner a zarazem ścisły analityk. — Cieszymy się z pięknego przekładu p. Wydżgi, żałując tylko, że tłumacz, miast spolszczać in extenso, zmuszony był niekiedy streszczać. *-w-c-i.*

ROZMAITOŚCI

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE WRZEŚNI. — W miasteczku Wrześni w Wielkopolsce odbył się uroczysty obchód 25-letniej rocznicy męczeństwa dzieci polskich, które nauczyciel niemiecki bił za to, że chciały modlić się i uczyć się religji w języku polskim. W gmachu pamiętnej temi wypadkami szkoły odsłonięto tablicę z napisem: „Polacy! Nie zapominajcie, że w czasach niewoli wróg odwieczny katował tu dzieci wasze za gorące ich przywiązanie do wiary i mowy ojczystej. 1901—1926“.

ORDER „WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA“ NA PIERSI POLAKA.— Kapitan Orliński, który wsławił się swym śmiałym lotem Warszawa — Tokio—Warszawa, został odznaczony przez Japonję orderem „Wschodzącego Słońca“. Symboliczny, srebrny krążek, ozdobiony w środku rubinem, zabłysnął zapewne po raz pierwszy na polskiej piersi.

POLSKIE ARCYDZIEŁA PO CZESKU. — W Pradze ukazał się w wydaniu „Světová knihowna“ trzeci tom „Na skalnem Podhalu“ Tetmajera“ w doskonałem tłumaczeniu Vondráčeka. Wielkie wydawnictwo dzieł Reymonta St. Minarika wzbogaciło się o przekład „Buntu“ i „Na krawędzi“. Dotychczas ukazały się przekłady „Chłopów“ i „Roku 1794“. Wkrótce ukażą się „Fermenty“ i „Komedjantka“. Vondráček przetłumaczył także „Przedwiośnie“ Żeromskiego, które wyjdzie w tym roku. Jest on też autorem przekładu „Walka z szatanem“.

FASZYZM A KOBIECA MODA. — Na otwarciu jesiennej wystawy obrazów w Paryżu powszechne zainteresowanie budziła pierwsza kreacja faszystowskiej mody, propagowanej przez Mussoliniego, który pragnie także i w tej dziedzinie nawiązać do tradycyj rzymskich przodków. Pewna włoska malarka zjawiła się w powłóczystej szacie koloru kremowego, podobnej krojem do antycznej togi. Uzupełnienie stroju stanowiły żółte wstążki we włosach oraz długi sznur bursztynów na szyi i bursztynowe kolczyki w uszach. Zebrana na wystawie publiczność nie była zachwycona nowym modelem, a paryskie dzienniki piszą złośliwie, że tego rodzaju szata zrobiłaby efektowne wrażenie na ekranie kinowym, ale stanowczo nie jest odpowiednim ubiorem dla nowoczesnej kobiety.

RABINDRANATH TAGORE W CHINACH. — Chiny chciwie przyjmują cywilizację Zachodu. Wyrazem tego reformatorskiego prądu jest przyjęcie, jakiego doznał Rabindranath Tagore w jednem z większych miast chińskich. Wielki ten pisarz, propagator kultury Wschodu, dowodził w swym wykładzie, że zdobycze nauki ludów wschodnich stoją wyżej, niż wynalazki Zachodu, i że Azja nie dopuściłaby u siebie do wybuchu tak potwornej wojny, jaką mieliśmy w Europie. W czasie drugiego odczytu zawieszono na pulpicie prelegenta afisze z napisami w chińskim języku: „Nie słuchajcie go! On nie chce waszego dobra, my potrzebujemy zachodniej cywilizacji!“ Skoro poecie, który głosił swe wykłady w języku angielskim, przetłumaczono tekst tych afiszów, zafrasował się bardzo, przerwał odczyt i trudno było go nakłonić, by go podjął na nowo. Tagore opuścił wkrótce Chiny i wyjechał z swemi odczytami do Japonji.

KĄCIK PRAKTYCZNY

Czepek z resztek

Forma tego czepka — to po prostu koło, ścięte u przodu. Na kroju z papieru układa się resztki gipjury, koronki tiulowej lub innej i kawałek batystu. Łączenia resztek koronkowych pokrywa się listewkami z batystu. Zprzodu przyszywa się kawałek wstawki gipjurowej, do której przyszywa się wstążkę do wiązania czepka z tyłu lub zboku. Zprzodu jako zakończenie szersza, po bokach i ztyłu naokoło węższa koroneczka. Batyst może być biały albo kolorowy, koronki białe, kremowe lub *écru*, przyczem można pomysłowo mieszać te różne odcienie.

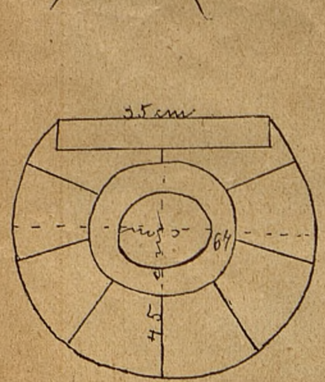
Poduszki z resztek

Niemal w każdym domu znajdują się małe resztki jedwabiu, aksamitu lub sukna, których nie można użyć do ubrania. Można natomiast zestawić z nich ładne poduszki. W tym celu podajemy kilka pomysłów, łatwych do naśladowania. Pierwsza poduszka ma jako tło czarny błyszczący jedwab, na który aplikowano koła w kolorach: kobaltowym, cytrynowym, zielonym, terrakota i lila, z różnych gatunków jedwabi. Druga na aksamicie terrakota ma aplikacje z jedwabiu czarnego, cytrynowego, zielonego, lila, czerwonego i szafirowego. Niektóre z kół połączono naszytym czarnym sznurkiem. Poduszka trzecia powstała z dwóch resztek jedwabiu czarnego i zielonego. Czwarta na zielonem tle ma aplikacje z małych kawałków jedwabi w 4 kolorach. Aplikacje przyszywa się z założonym brzegiem drobnym ściegiem przed igłę. Przyszycie kryje się lacetką albo sznureczkiem, przyszytym dużemi ściegami, nitką metalową, kierując się w wyborze dobrym smakiem i regułami o harmonji barw.

Witrażki z motywami z resztek koronek

Nawet najmniejszego kawałka koronki nie trzeba wyrzucać, gdyż da się zużyć na różne ładne przedmioty. Niniejszem podajemy witrażki, ozdobione motywami, ułożonemi z resztek koronki w ten sposób, że zakryto przyszyte brzegi resztek tasiemką, używaną do szytych koronek. Tak samo zakryto szew, łączący gotowy motyw z markizetą witrażków. Dołem użyto kilku resztek różnych koroneczek, z których zostały tylko malutkie kawałki. Całość stanowi śliczną ozdobę okna. Użyć można każdego gatunku koronki lub wstawki, mieszając z zastanowieniem i smakiem. Przed zszyciem najlepiej złożyć wszystkie motywy, przyczem trzeba się dobrze namyśleć, by uniknąć późniejszego prucia.





Czepek z resztek





Poduszki z resztek

Na wszystkie modele sukni, płaszczy, bielizny, ubrań dziecięcych i t. p., podawanych w „Kąciku Praktycznym", dostarczamy krojów normalnej wielkości, w cenie zł 2·—. Udzielamy wskazówek w kwestji garderoby i bielizny dziecięcej

---

Zużytkowanie resztek koronek i haftów

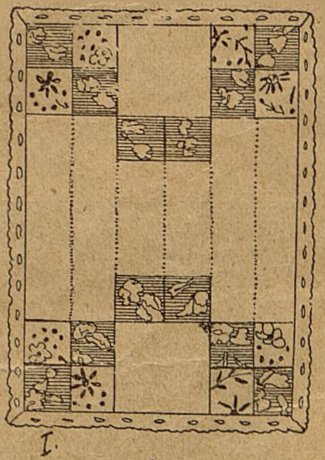
W każdym domu znajdą się różne nieużyte resztki, z których można ułożyć piękne serwetki. Nawet najmniejsze kawałki można zastosować, mieszając umiejętnie i ze smakiem, np. haft z walensjenką. Szwy tych ostatnich robi się wąziutkie, a umacnia je albo podłożoną batystową tasiemeczką, albo naszytą ozdobną tasiemką koronkową. Na rys. I ozdobiono prócz tego płótno mereżką, lecz można tak samo złożyć płótno z kawałków podłużnych lub kwadratowych. Naokoło przyszyto gęstą koroneczkę. Rys. II przedstawia serwetkę, ozdobioną również resztkami haftu i koronek, naokoło obszydełkowaną ząbkami. Malutką serwetkę widzimy na rys. III, jako podkładkę pod zastawę, można ułożyć podobne okrągłe lub innego dowolnego kształtu.

W przyszłości podamy jeszcze różne inne sposoby użycia resztek.

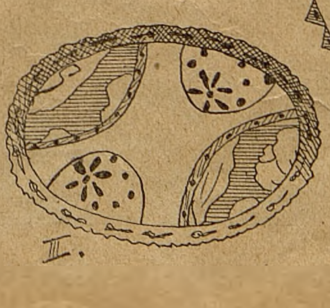
Zina Kulczycka



Witrażki z motywami z resztek koronek

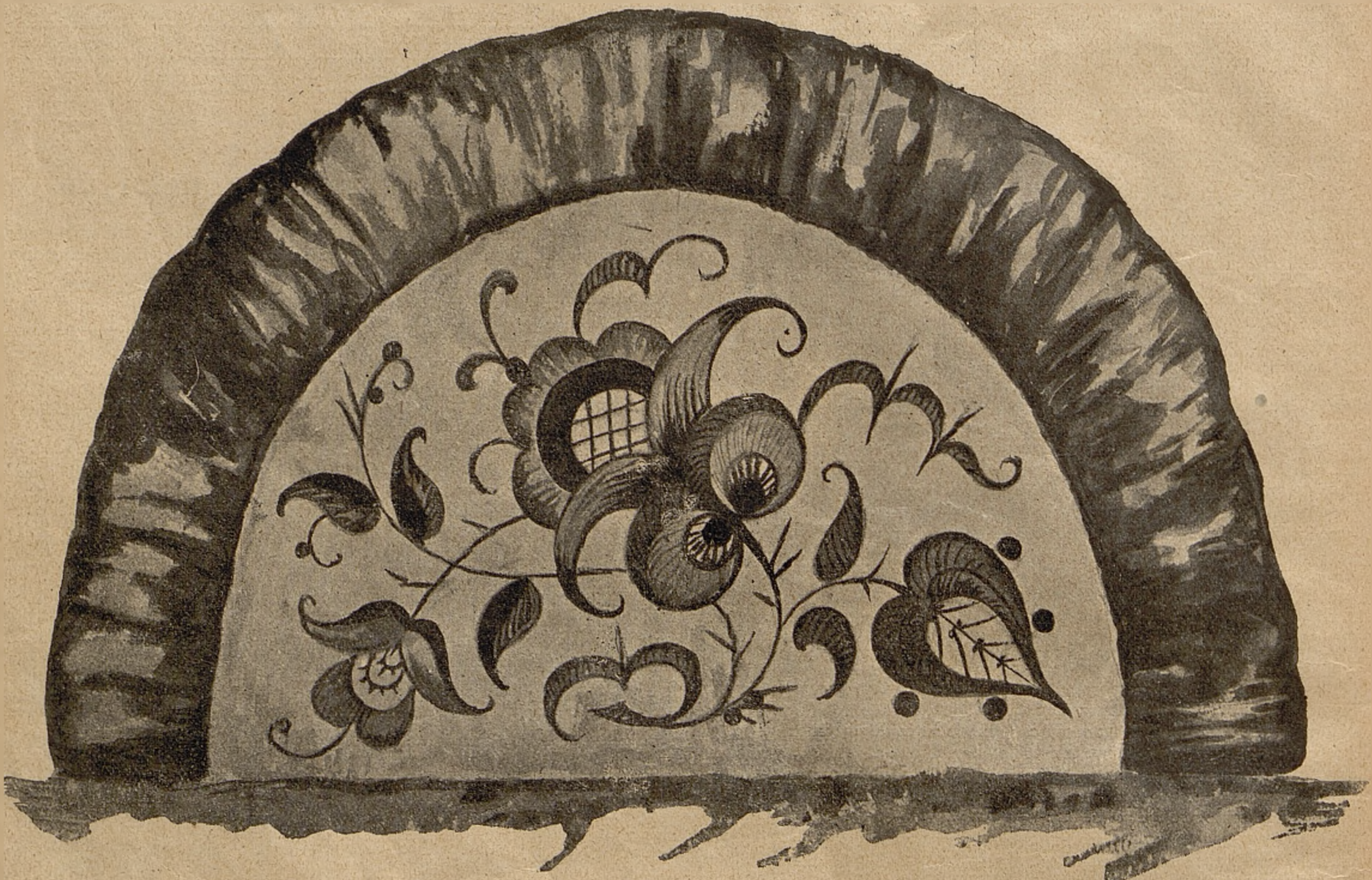




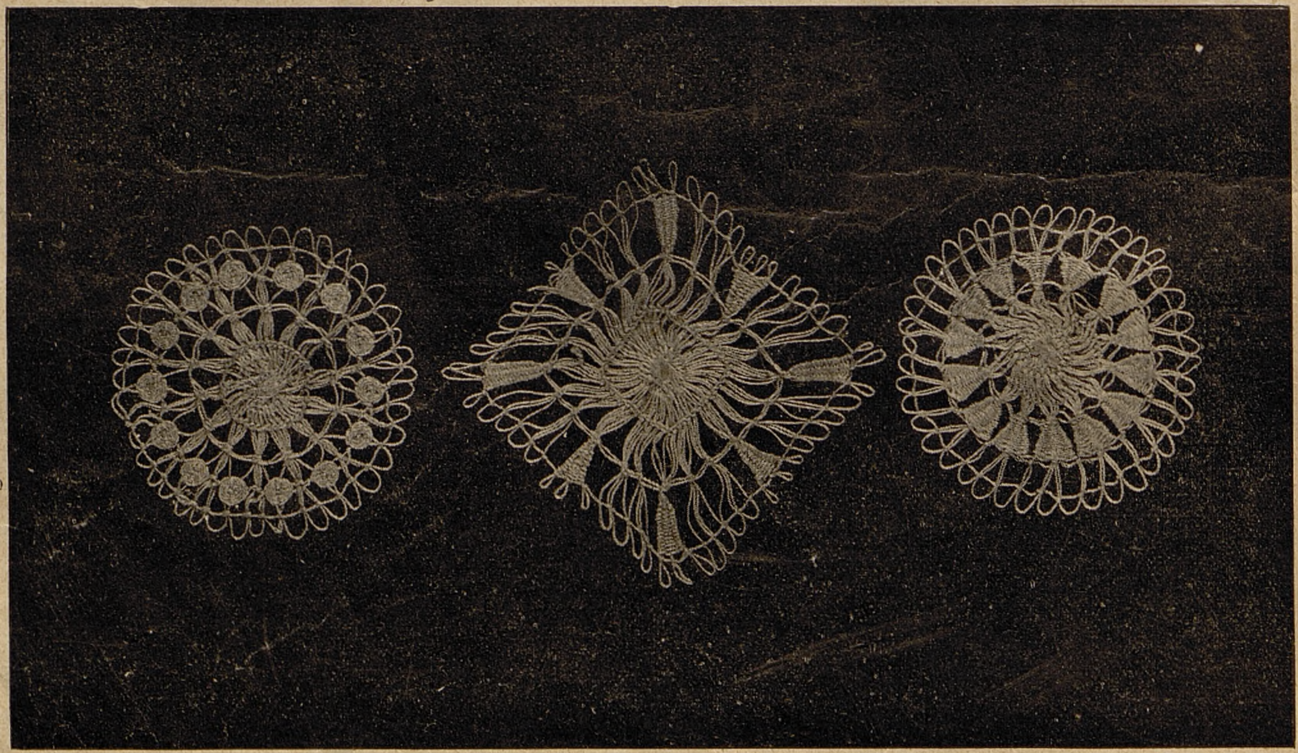


Zużytkowanie resztek koronek i haftów

ROBOTY RĘCZNE



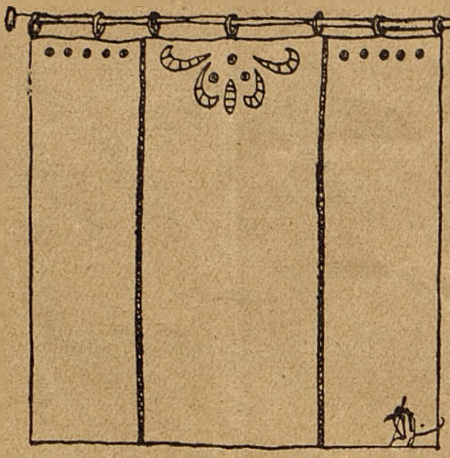
Rys. 64. **Poduszka o oryginalnej formie.** Poduszkę ze starozłotego jedwabiu zdobi haft ściegiem płaskim. Oprawa i spód — dostosowane do kolorów haftu. Wzór na arkuszu.



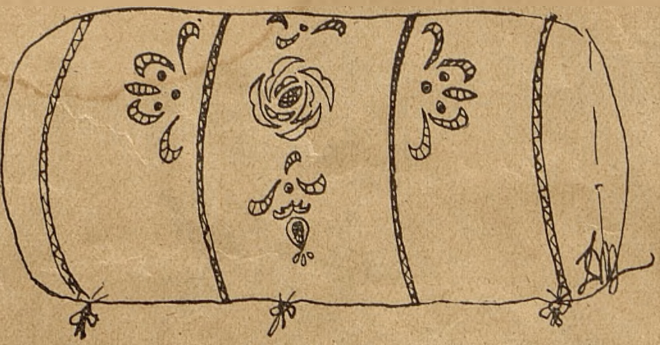
Rys. 65. **Motywa koronki „Teneriffa"** do inkrustowania w bieliznie stołowej, firankach i t. p.



Rys. 66. **Portjera** z wełnianego repsu lub płótna samodziałowego. Haft płaski i gałązkowy bawełną „perlé" w kilku odcieniach staro-złotego lub innego, do urządzenia stosownego koloru. Obręby mereżkowe.



Rys. 67.



Rys. 68.

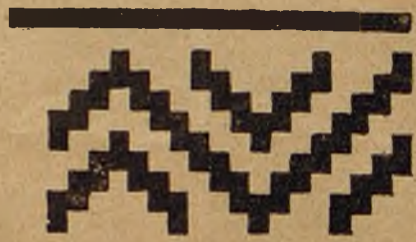
Rys. 67 i 68. **Firaneczka i poduszka** w kształcie wałka, haft gipjurowy na białym cienkim batyście. (Stosowne do sypialnianych kap i firanek z nru 2 b. r.)



Rys. 69. **Obrusik.** Haft Richelieu i angielski na białej webie, rozmiar około 1 m^2.



Rys. 70.



Rys. 71.

Rys. 71. **Wzór haftu krzyżykowego** do ozdoby dziecinnej garderoby i t. d. Wykonać go można jedno lub kilkubarwnie.

Wszelkich porad w sprawach robót ręcznych udziela Redakcja ustnie albo pisemnie.

Rys. 70. **Ozdobny szlak,** który może być wykonany aplikacją, batikiem, liworyzowaniem i t. d. Służy do różnych celów.

Rys. 72. **Fartuszek dla młodej panienki.** Jako materjał służy bladoróżowa, zielona lub liljowa markizeta. Zdobią go gałązki akacji, haftowane ściegiem płaskim jedwabiem złotym lub liljowym i zielonym. Brzeg obrębiony ściegiem dzierganym.

Opis wzoru na ostatniej stronie okładki:

Rozmaite motywa do haftu konfekcyjnego.



Rys. 72.

DOBRA GOSPODYNI

Chlebki kolonjalne. — Masła 50 g, 3 jaja, 125 g cukru, 2 łyżki kakao, 250 g mąki, 1/2 paczki proszku dra Oetkera, 6 utłuczonych goździków, 1 łyżeczka cynamonu, 125 g migdałów, 1 łyżka cukru waniljowego dra Oetkera i trochę wody. — Masło ubić na pianę, dodać jaja, cukier, kakao, korzenie i całe migdały, a pod koniec mąkę, zmieszaną z proszkiem do pieczywa dra Oetkera. Wody tyle, żeby ciasto było elastyczne. Blachę wysmarować masłem, wyłożyć ciastem i przycisnąć je równomiernie i piec w niezbyt gorącej rurze. Natychmiast po wyjęciu z pieca, krajać na drobne kawałki i po ostygnięciu przechowywać w blaszanych puszkach.

Kapusta czerwona z sokiem wiśniowym. Szatkowaną główkę kapusty nasolić, włożyć w rondel, wysmarowany masłem, skropić winem czerwonem, zalać sokiem wiśniowym lub borówkowym, dusić nakrytą, na wolnym ogniu, do miękkości. Zamiast soku, można dać wina czerwonego lub białego i kilka plasterków kwaśnych jabłek.

Pieczeń z jarzyn, nadziewana śliwkami, na sposób gęsiny. Szklankę soczewicy, lub białej fasoli, wypłókać, namoczyć, ugotować na lekko osolonej wodzie, z kawałkiem masła — i przetrzeć przez sito, lub zemleć na maszynie. Dodać moczonej w mleku bułki, kilka orzechów włoskich tartych, nieco siekanej zielonej pietruszki i koperku, 2—3 jaja surowe, trochę soli i odrobinę cukru. Masę wymięsić na misce doskonale. Ma być w miarę wilgotna, nie sypka. Dodać bułki, gdy zbyt rzadka, lub mleka, jeśli sucha. Rozpłaszczyć ją — włożyć w środek warstwę suszonych, namoczonych, z pestek obranych śliwek, przesypać cukrem z cynamonem. Zwinąć pieczeń ściśle, posmarować jajem — posypać sianą bułką, upiec na maśle, w rurze, polewając. Gdy rumiana, podlać śmietaną — zrobioną dzień naprzód, (w zimie,) — lepiej i ładniej się kraje.

Jabłka w winie (przepis najnowszy, paryski). 1 kg jabłek szlachetnych, które nie rozgotowują się szybko, obrać — pokrajać w ćwiartki, dać do rynki na 3 dkg gorącego masła. Wsypać 10 dkg cukru i nieco cynamonu dla zapachu. Gdy się zrobią złotawe, nalać 1/2 szklanki wina czerwonego, pół szklanki wody — i niech tak dojdą na kraju kuchni — wolno.

Smaczne do pieczystego.

Budyń z mięsa. Usmażyć 6 dkg smalcu z dużą tartą cebulą, dać 7 dkg słoninki w kostkę krajanej, zielonej pietruszki i tymianku siekanego — zrumienić na tem na żółto 2 łyżki mąki, rozebrać paru łyżkami mocnego rosołu zimnego, lub mleka. Zdjąć z blachy, wmięszać 1/2 kg siekanej, pieczonej cielęciny, albo mięsa z rosołu, (byle nie surowego!) 4—5 żółtek, soli, muszkatułowej gałki, 5 dkg sianej bułki, pianę z 5 białek. Wyłożyć do smarowanej, wysianej formy budyniowej, gotować godzinę w parze, albo upiec w rurze.

Podać z sosem pieczarkowym, sardelowym, lub koprowym. Stosowne są również kiszone ogórki.

Kanapki. Okrawki wędlin zemleć parę razy na maszynce. Utrzeć drugie tyle masła, ile jest mięsa, na pianę. Wmięszać mięso, 2—3 siekane, obrane z ości sardele, nieco soli, pieprzu do smaku. Posmarować bułeczki, albo grzanki.

Kwasząc kapustę na zimę, najpierw ją po uszatkowaniu parzyć wrzącą wodą na dużych nieckach, nakrywając drugiemi, kwadrans lub dłużej, — partjami. Potem odcedzać, wyciskać, mieszać z solą i ubijać w beczce Woda z tej kapusty jest tak ostra i gryząca, że łzy z oczu wyciska. Kapusta zato staje się biała, śliczna i dwa razy tyle zmieści się jej w beczce. Nakryta płótnem, krążkiem drewnianym, przyciśnięta kamieniem, jak zwykle, kiśnie o wiele prędzej, trzyma się doskonale, jest o wiele zdrowszą i higjeniczniejszą od nieparzonej, przytem znacznie smaczniejsza, zwłaszcza jako sałata na surowo.

Kawa żołędziowa daje napój pożywny i zdrowy, zwłaszcza dla dzieci i dorosłych nerwowców.

Żelatynę wyrabiają z głów i nóżek cielęcych. Powinna być cieniutka, przezroczysta, bezbarwna (jeśli biała) — kupować w najlepszym gatunku, bo tania ma niemiły zapach kleju.

Mniejsze jaja zawierają większe żółtka.

Rum ciemnego koloru nie jest prawdziwy, a gdy długo stoi — kwaśnieje.

Dobry rum jest przezroczysty, ma kolor złoty i silny posmak spirytusowy.

*

Przypominamy o kontroli jesiennych i zimowych owoców, złożonych w piwnicy, które przeglądać i przebierać trzeba często, zużytkowując zaraz nadpsute. W numerze „Świata Kobiecego“ z 1/II 1925 był zamieszczony w „Dobrej Gospodyni“ obszerny artykuł o zużytkowaniu owoców, w nr. 19 (1925) o przechowaniu tychże. *Mewa*

W oszczędnych gospodarstwach — gdzie opał dużą rolę odgrywa — dobrze jest, zanim się pod kuchnią rozpali, wszystkie szczegóły do obiadu przygotować wprzód — ażeby np. smak na zupę pomidorową, lub jarzynową — nie gotował się sam na kuchni, gdy pomidory lub jarzynki jeszcze nie pokrajane i nie uszatkowane. Również jeśli się gotuje np. rosół i sztukę mięsa — a „rura“ jest wolna — dobrze jest upiec przy jednym ogniu pieczeń na dzień następny. Odgrzana wcale na smaku i dobroci nie traci, zupę zaś można ugotować, owocową lub kartoflaną, w przeciągu godziny. Panie zajęte, a nie mające dobrej kucharki, chcąc mieć legumine, lecz nie chcąc jej robić codziennie, mogą upiec torcik kruchy, lub z kartoflanej mąki, lub też ciastka kruche. Ciastka te trzymają się długo w świeżym stanie i bardzo smakują na deser. *A. K.*

Przepis na szybkie i oszczędne pranie. Namoczyć bieliznę na noc w letniej wodzie z sodą. Rano przeprać raz dokładnie mydłem (Bardzo miłe w użyciu jest mydło „Alboril“, gdyż daje bieliźnie świeży i przyjemny zapach). Potem namydlać każdą sztukę z osobna, szczególnie miejsca brudniejsze i gotować, licząc od chwili zagotowania kwadrans. Baniak do gotowania bielizny powinien mieć ruszt — wtedy można postawić go bezpośrednio na silny ogień bez obawy przypalenia bielizny, a bielizna zakipi bardzo szybko. Woda do gotowania bielizny powinna być letnia i z dodatkiem sody. Po wygotowaniu, płókać, farbkować i krochmalić. Sposób ten jest bardzo pratyczny, gdyż bielizna nie niszczy się wielokrotnem tarciem i wykręcaniem, a jest zupełnie czysta i świeża. *A. K.*

Ciastka francuskie z kremem. Dokładny 1 f masła i 1 f mąki najbielszej. Mąkę przesianą podzielić na 3 części. Dwie części zarobić jednem jajem, 1 łyżką winnego octu, szczyptą soli i wodą, tak aby było jak na pierogi. Nakryć ciasto rondelkiem na kilka minut i wyrobić przez ten czas masło z pozostałą 1/3 mąki. Następnie rozwałkować poprzednie ciasto w kształcie kwadratu i zawinąć masło w to ciasto jak w kopertę szczelnie, żeby nie mogło się wydostać. Rozwałkować tę kopertę w kształt prostokąta, złożyć ją w troje i zostawić na 10 minut w spokoju. Potem rozwałkować znowu w kształcie prostokąta i złożyć w czworo. Zostawić jak wyżej. Rozwałkować i złożyć w troje, następnie w czworo — w ten sposób dwa, trzy razy. Przy wałkowaniu ciasta uważać na to, aby: stolnica była przysypana mąką — aby wałek był ciężki, a o ile trzebaby ciasto obrócić na drugą stronę, nie brać nigdy w palce, tylko owinąć na wałek i w ten sposób obrócić. W lecie powinno się robić bezwarunkowo w piwnicy, w zimie gdy masło jest twarde i w kuchni udaje się doskonale. Gdy się tacza ciasto w kształt prostokąta, uważać aby zawsze było mniej więcej takie jak blacha,

w której się piecze, raczej większe niż mniejsze. Gdy rozwałkowane już parokrotnie w powyższy sposób, przekroić je na cztery równe części. Każdą część rozwałkować na prostokąt, złożyć w troje, rozwałkować na wielkość blachy, przy pomocy wałka ułożyć na blasze posypanej mąką, pokłuć nożem i upiec w średnim piecu na biały kolor. Zrumienione ciasto będzie gorzkie. Dobre ciasto przy wałkowaniu błyszczy się jak jedwab, jest zupełnie gładkie, a pod koniec miewa pęcherzyki, co jest oznaką dostatecznego wałkowania. W piecu czy rurze rośnie wydatnie i dzieli się na cieniuchne warstewki. Jeżeli przy wałkowaniu, masło wydostaje się na wierzch, trzeba zasypać mąką i przy składaniu, dać te miejsca przetarte do środka. W każdym razie jest to oznaką ujemną — albo masło było za wolne, albo ciasto mączne było za cienko rozwałkowane. Gdy ciasto upieczone, nie wyjmować zaraz z blachy, bo się pokruszy, dopiero aż ostygnie. Krem: $^1/_2$ f cukru mączki — może być mniej, jedno jajo i 2 lub 3 żółtka. Utrzeć dobrze z cukrem, dodać 5 dkg mąki, wlać $^1/_2$ l mleka przegotowanego z wanilją i ostudzonego. Mieszać nieustannie na kuchni, aż zgęstnieje. Ostudzonym kremem smarować ciasto, przyłożyć drugą połową, posiać powierzchnię miałkim cukrem z wanilją i krajać ostrym nożem, maczanym w gorącej wodzie na zgrabne kwadraciki. *A. K.*

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Redakcja udziela porad kosmetycznych i gospodarskich; w sprawie sztuki indywidualnego ubierania się, urządzenia wnętrz mieszkaniowych i innych; przyczem prosi o wyraźne, czytelne pismo w listach z pytaniami.

Na koszta odpowiedzi prosimy nadsyłać 20 gr. W miarę możności prosimy podawać swój adres. Recepty po 1 zł.

Osobiste odpowiedzi w kwestjach kosmetycznych nadsyłamy po otrzymaniu kwoty 1 zł za każde poszczególne pytanie.

Przy zamawianiu recept kosmetycznych należy zawsze podać rodzaj cery: 1. sucha — 2. tłusta — 3. skłonna do wyprysków — 4. wrażliwa.

Godziny przyjęć w redakcji: 12—13. Tel. red. 48-34.

Nuda z puszczy leśnej. — 1. Materjał angielski czyścić odwarem z mydlika [kwilaja], z dodaniem łyżeczki amonjaku na $^1/_2$ litra gorącego odwaru. — Drugi sposób: obrane, surowe, tarte kartofle namoczyć w zimnej wodzie, przecedzić i szczotkować tym płynem, albo prać w nim wełniane, bawełniane i jedwabne materje. Tak pierwszy, jak i drugi sposób wymaga następowego wycierania czystą wodą. — 2. Do czyszczenia jasnych filców bez względu na kolor używa się benzyny z magnezją, rozrobionej do konsystencji śmietany. Nałożyć na kapelusz równomiernie i pozwolić wyschnąć. Następnie strzepnąć pył magnezjowy i wyszczotkować. W razie potrzeby — powtórzyć zabieg. 3. Podręczniki, o które Pani pyta, są w tak wielkiej ilości na składzie w Księgarni Polskiej, że nie możemy ich na tem miejscu wymienić. Proszę zażądać katalogu, który Pani otrzyma bezpłatnie. — 4. Adres garbarni, wyprawiającej skóry zamszowe: Warszawa, pl. 3 Krzyży, nr 8, „Seal" Warsz. Zakł. Wyprawiania Futer. — 5. Bratki są zupełnie niewrażliwe na mrozy i dlatego nie potrzebują żadnego okrycia; przeciwnie, pod okryciem z suchych liści łatwo gniją. Jedyne okrycie, które bratki nieźle znoszą, to gałązki drzew szpilkowych. — 6. Lilja biała jest równie wytrzymała jak bratki, więc także okrycia nie potrzebuje, ani tem bardziej wykopywania i zimowania w piwnicy. Lilja powinna pozostawać na grzędzie nieporuszana jakich 5—8 lat, dopiero wtedy silnie się rozrasta i dobrze kwitnie.

P. Mirska. — Odpowiedź na list Pani wymaga szczegółowych objaśnień wraz z receptą, co możemy załatwić jedynie w zamkniętym liście, po otrzymaniu adresu.

Stała Czytelniczka z Poznania. — Wzruszeni jesteśmy tym miłym dowodem pamięci o naszem piśmie, świadczącym nietylko o życzliwości Szan. Pani, ale i o użyteczności „Kącika Praktycznego". Wartość i znaczenie listu Pani podniósłby podpis, o który uprzejmie prosimy. Zarazem zapytujemy, czy nie miałaby Pani nic przeciwko temu, gdybyśmy przesłaną nam fotografję uroczych dzieciaków Pani, ubranych podług naszych wzorów, umieścili w „Świecie Kobiecym". Mamy do tego wielką ochotę i prosimy o szybką odpowiedź.

P. Zofja Podhorska. — 1. Nam również wydaje się cena wymieniona przez Panią zbyt wygórowana. Tego rodzaju kapę na łóżko, z opalu, prześlicznie zahaftowaną, widzieliśmy w pracowni p. Marji Noworytowej, Lwów, Zimorowicza 17, II p. Cena jej znacznie niższa od tej, którą podano Pani. — 2. Oczywiście, że gotowe szale i chustki są droższe od robionych na zamówienie. Te ostatnie mają również inną, dużą zaletę: mogą być podług indywidualnych życzeń wykonane i oryginalnie skomponowane. I w tym zakresie znajdzie Pani wielki wybór wzorów, oraz ciekawe pomysły w wyżej wymienionej pracowni artystycznej.

PIELĘGNOWANIE URODY opierało się dotychczas na bezkrytycznym doborze reklamowanych, często szkodliwych, kosmetyków. Dopiero wiedza lekarska skonstruowała racjonalne, osobnicze metody dla kultu piękna. Do różnych zatem właściwości cery dostosowuje medycyna rozmaite preparaty i tak np. do tłustej cery, skłonnej do wągrów, poleca: proszek marmurowy „Miraculum", który przy pomocy gorącej wody, tudzież pudru egzotycznego Dr. Lustra, przeobraża ją w normalną. Kremy i mydła niszczą tłustą cerę. *C. d. n.*

P. Leokadja Pancewiczowa. — Wiadomości potrzebne Pani z zakresu kosmetyki znajdują się w Drugim Almanachu „Świata Kob." Niezwykła obfitość recept zadowoli Panią w zupełności i pozwoli na indywidualny dobór środków. Obok kremów na każdą skórę, emulsyj, wód, octów toaletowych — są również recepty na saszety wonne i perfumy. Trudno zresztą wymienić wszystkie środki. — Ćwiczenia gimnastyczne są dokładnie opisane i ilustrowane; gdyby jednak potrzebowała Pani objaśnień, chętnie służymy niemi. — Rozdział o czyszczeniu plam jest niezwykle praktycznie zestawiony przez inżyniera-chemika.

M. W. 205. — Z braku miejsca odpowiedź w następnym numerze.

TREŚĆ NUMERU 22-go



PLUSZE, ASTRACHANY, BARANKI, JEDWABIE, AKSAMITY, WELWETY, WEŁNY MODNE I SUKNA

SPRZEDAJE TANIO

ROMAN ZUBIK, Lwów, Halicka, 16.

463

SZWEDZKIE *Kanolda* CUKIERKI ŚMIETANKOWE SĄ NIEDOŚCIGNIONE

FABRYKA w LESZNIE (WIELKOPOLSKA)

469-II

IDA PLUCIŃSKA

KSIĄŻKA KUCHARSKA

UDOSKONALONA



WARSZAWA

Ostatnie wydanie w tej dziedzinie, dostosowane do chwili obecnej.

Pod przepisami podana szczegółowa ilość produktów i dodatków, jaką należy brać na daną potrawę. Ten drobiazgowy przepis, wprost elementarny, daje możność nawet najmłodszej gospodyni sporządzenia potrawy bez obawy, by czegoś nie dała za dużo lub za mało.

Miary i wagi podane w litrach i kilogramach (deka).

Książka 240 stron druku, obejmuje wszystkie działy kuchni, od codziennych do tortów, zapasów śpiżarnianych i t. d.

Cena w oprawie cienkiej zł 5·— 487

„ „ kartonowej zł 6·—

Książka nagrodzona 2-ma medalami srebr.

Sprzedaż w księgarniach lub u autorki: Warszawa, Hoża, l. 62. Konto P. K. O. 12.526. — Wysyłam po wpłaceniu należności.

Herbata Riedla

LWÓW · RUTOWSKIEGO · 3

355-21 itd.

SKŁAD FORTEPIANÓW I PIANIN B. POŁONIECKIEGO

LOKAL OBOK MAGAZYNU NUT

ZAOPATRZONY W INSTRUMENTA PIERWSZORZĘDNYCH FABRYK ZAGRANICZNYCH

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO

jest nietylko najtańszym wydawnictwem książkowym, lecz i jedynym — wydającym tylko najcenniejsze utwory autorów polskich.

W dorobku wydawniczym ubiegłego roku spotykamy nazwiska autorów tej miary, jak: K. Przerwa-Tetmajer, Andrzej Strug, W. Lutosławski, Marja Rodziewiczówna, Antoni Ossendowski, Edward Słoński, Artur Gruszecki, A. Zahorska, G. Olechowski, M. Smolarski, J. I. Kraszewski, J. Korzeniowski i w. i.

W I kwartale 1926 r. ukażą się:

Barszczewski Stefan, *„Jak być mogło"*. Nieurzeczywistniona opowieść lotnicza. — **Korzeniowski Józef**, *„Pojedynek"*. — **Krzewiński Juljan**, *„Z dziejów tęsknoty"*. Powieść. — **Smolarski Mieczysław**, *„Archiwarjusz Gordon"*. Powieść. — **Olechowski Gustaw**, *„Rycerz"*. Powieść w 2 tomach. — **Wojcicki Kazimierz**, *„Amerykanin"*. Powieść. — **Słoński Edward**, *„Antologja współczesnych poetów polskich"*. — **Tatarówna Stefanja**, *„Jak Jan z Kolna jechał do Grenlandji"*.

W roku 1926

„Bibljoteka Domu Polskiego" dodaje swoim prenumeratorom za niewielką dopłatą **2 premje:**

1) **Historja 25 lat XX wieku.** Wielkie dzieło zawierające około 500 stron druku w wielkim formacie i 200 ilustracji i map.
2) **Józefa Rapackiego** *„Z dawnej i niedawnej Warszawy"*, wielka teka zawierająca 20 autolitografji.

Szczegółowe prospekty gratis i franco.

Prenumerata wraz z wysyłką wynosi:

Rocznie	(36 tomów)	zł. 18·50
Półrocznie	(18 „)	„ 9·40
Kwartalnie	(9 „)	„ 4·70

383-itd.

Wpłacać można w każdym Urzędzie pocztowym na konto P. K. O. **9779** lub przekazem pocztowym, na adres:

Warszawa, Marszałkowska 31 a, telefon Nr. 516-88.

Często naśladowany, lecz niedościgniony oryginał wody Kolońskiej

EAU de COLOGNE

Przemysławka

SKONCENTROWANA

HENRYK ŻAK

POZNAŃ

Nie przyjmować falsyfikatów.

490



Forteplany, pianina, fisharmonje

TANIO I NA RATY

CENNIKI DO DYSPOZYCJI

KONRAD KAIM I SYN

Lwów, Kopernika 16

Telefon 20-45

370

A. WANG następca Paweł HOCHMAN **Lwów, ul. Halicka, 18,** poleca: największy wybór towarów bławatnych, płócien i jedwabi.

489 itd.

Wydawca: Bernard Połoniecki — Lwów. — Odpow. redaktor: A. W. Bednarski. — Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Chorążczyzna

Redaktorka: **Wanda Tomaszewska.**

Z drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich pod zarządem A. Wierzbickiego.

Blednicę niedokrwistość usuwa, działa wzmacniająco, odżywczo, podnieca apetyt nieocen. środek dla rekonwalescentów

Polseravallo Mra Krzysztoforskiego

Wino chinowo-żelaziste na maladze hiszpańskiej. Do nabycia we wszystkich aptekach i drogerjach lub wprost. Cena za flaszkę zł 4·25 $^1/_2$ fl. zł 2·40. Uwaga: We własnym interesie żądać wyraźnie Polseravallo Mra Krzysztoforskiego. Laboratorjum chem.-farm. Mr. Krzysztoforski, Tarnów. 394-7-2

Paryski Instyt. Estetyczno-kosmetyczny

„EUREKA"

Lwów, ul. Bourlarda 4.

Modelowanie niekształtnych rysów twarzy, usuwanie podbródków, zmarszczek, piegów, wągrów i wszelkich nieczystości cery przez specjalistkę paryską.

Pielęgnowanie włosów, rąk, manicure.

Godziny przyjęć 10—12·30 i 3—5

378-4-24

ZAKŁAD HAFTÓW ART.

WANDY GILOWSKIEJ

ULICA KORALNICKA, L. 6

poleca najnowsze wzory, oraz gotowe story, kapy i firanki

486-22-23

PUDER, MYDŁO i KREM

Bébé Szofmana

niezbędne do pielęgnowania ciałka niemowlęcia, a niezawodne środki dla dorosłych o wrażliwej cerze. Żądać w aptekach, składach aptecznych i perfumeryjnych. Prawdziwe ze znakiem „Aeroplan". 480

Rok założenia 1899

M. A. AUGUSTYN

MAGAZYN I PRACOWNIA FUTER

LWÓW, UL. T. RUTOWSKIEGO, 7

Poleca: futra męskie i damskie, miastowe i podróżne, kurtki, świtki i czapki, boa i t. p. we wielkim wyborze. — Przyjmuje wszelkie roboty wchodzące w zakres kuśnierstwa 488-12-1

MAPA ORJENTACYJNA KOLEI POLSKICH

skala 1 : 2,200.00 w cenie **20 gr** do nabycia w Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów, Akademicka. Należytość można przesłać w znaczkach pocztowych, więcej 10 gr za porto.



Jedwabie należy prasować przez cienkie płótno.

Jak należy prać jedwabie?

Wsypać garść płatków mydlanych LUX do miednicy z gorącą wodą i ubić na pianę. Filigranowe płatki Lux'u są tak cienkie, że rozpuszczają się natychmiast, nie pozostawiając śladu nierozpuszczonego mydła, które mogłoby zażółcić jedwab. Dodać zimnej wody, tak aby utworzył się letni roztwór. Włożyć przedmioty przeznaczone do prania i łagodnie przegniatać w mydlinach, zanurzając raz po raz. Nie trzeć! Wypłókać starannie w ciepłej wodzie. Nie wyżymać! Wycisnąć wodę starannie, zawinąć w ręcznik, a gdy prawie suchy, prasować ciepłem—nie gorącem—żelazkiem. Dla zachowania połysku należy prasować jedwab przez cienkie płótno po prawej stronie.

Bardzo chętnie damy WPP. możność wypróbowania tego cudownego środka. Prosimy w tym celu przysłać nam załączony kupon, a wyślemy bezpłatną próbkę Lux'u wraz z illustrowaną broszurką o sposobie prania delikatnych tkanin.



KUPON — Do p. L. REIDA, Skrzynka Pocztowa 479, — Poczta Główna WARSZAWA

Imię i nazwisko ....

Adres ....

Jedna próbka dla każdej osoby ....

L. 9. Świat Kobiecy

Powyższy kupon wypełnić, wyciąć i naklejony na pocztówkę wysłać pod wskazanym wyżej adresem.

Jeneralny Przedstawiciel na Polskę fabryk firmy LEVER BROTHERS LIMITED (Anglja)
L. Reid, Warszawa, ul. Moniuszki 11, tel. 204—87 i 186-
Do nabycia we wszystkich mydlarniach i składach aptecznych.

490

